

Ignacy

Chodzko.

SERYA CZWARTA.

Tom Drugi.

AUTOR SWATEM.

PANNA RESPEKTOWA.



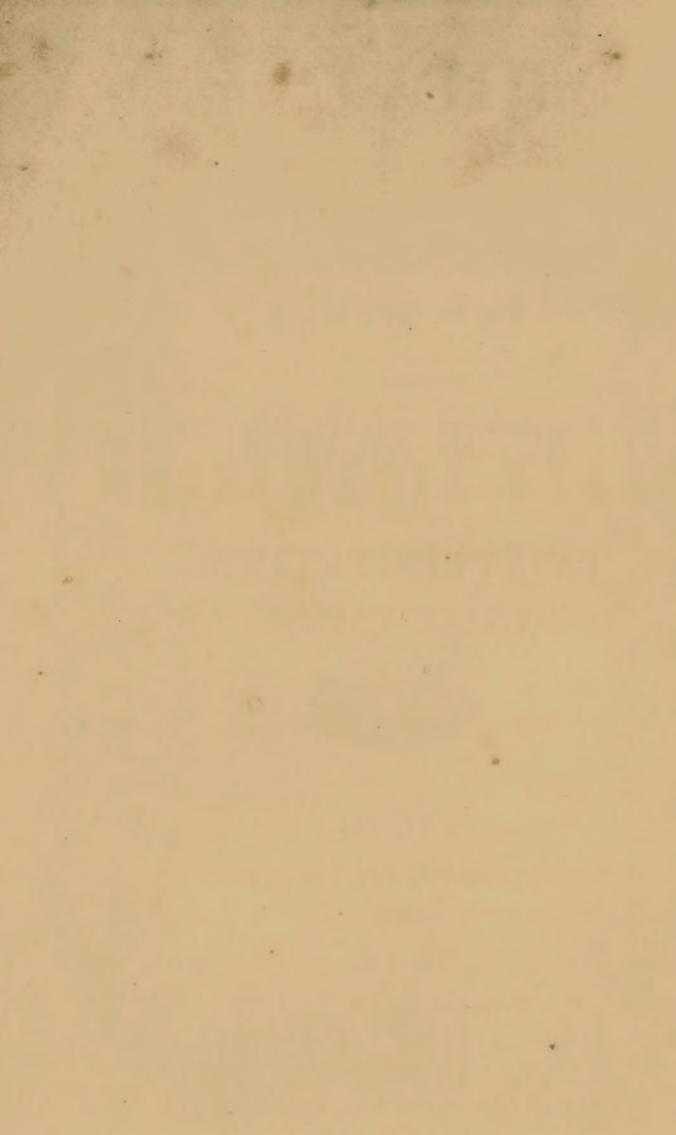
WILNO.

NAKŁAD I Druk JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1846.

OBRAZY

LITERWISKE.



OBRAZY LITEWSKIE.



SERYA CZWARTA.

Służmy poczeiwěj sławie! a jako kto może,
Niechaj ku pożytkowi dobra wspólnego pomoże.

JAN KOCHANOWSKI.

O B R A Z Y

L I T E R A T U R N E.

P R Z E Z

IGNACEGO CHODŹKĘ.



SERYA CZWARTA.

Tom Drugi.



AUTOR SWATEM.



PANNA RESPEKTOWA.



Wydanie Adama Zawadzkiego.

W I L N O.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.



1846.



327444

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno, 1845 roku, 3 Grudnia.

Cenzor, Proff. b. Uniwer. Wileń., Radzca Koll. i Kawaler,

JAN WASZKIEWICZ.

AUTOR SWATEM.



AUTOR SWATEM.



I.

ROZRZĄDZENIE niezawisłe wolą, sercem i ręką własną, jest szczęśliwym udziałem mężczyzn; w rodzaju zaś niewieścim, wdów tylko. Władza ta tém przyjemniejszą być im powinna, że jest przypadkową, i że następuje po dwóch peryodach przymusu: *panieństwa i małżeństwa*. Rzadko jednak wdowy lubią się długo cieszyć tym na

pozor miłym przywilejem: po dwakroć, trzykroć i czterykroć uwalnianą rękę zdarza się im chętnie i dobrowolnie w więzy małżeńskie plątać.

— Nie mogę znieść — mówiła mi jedna pięćdziesięcioletnia a sentymentalna wdówka w wigilię czwartego swojego szluby — nie mogę znieść smutnego a obecnego mi zawsze obrazu zgonu ukochanego ostatniego (bo o dwóch pierwszych nie było mowy) męża mego! Wolę — muszę zamienić go w méj duszy na obraz i przypomnienie wesela. Probowalam już dwa razy tego śródka.... Najskuteczniejszém jest na rozpacz lekarstwem.—

— Wyborna medycyna na wdowią chorobę! — pomyślałem.

Lecz nie masz prawidła bez wyjątków. Niejedna wdowa (może dla tego, że w przypomnieniach rozstania się na

wieki z mężem niewiele czuje smutku) nie śpieszy też go osładzać weselem; niejedna, zwłaszcza z młodych i ładnych, wraca do wspomnień i nalogów panińskich; a łącząc do nich powagę utraconego i swobodę nowego stanu, podoba sobie, czując tkliwie, panując bezpodzielnie i wybierając dowolnie. Z takich liczby była *Podkomorzyna*.

Trzeci krzyżyk mija, czwarty dobiega, a nieżonaty mężczyzna ozdabia się (chce czy nie chce) nazwaniem *kawalera marcowego*. O! bodajby tylko nazwaniem! Lecz jak owo fatalne nieśmiertelności znamie na czole *Grumdrypa* (*), tak na policzkach letniego bezżeńca piątnuje się wybitnie albo obzękłość próżniaka i samoluba, albo

(*) Historia na dwie części podzielona Krasieckiego.

wychudłość skępcza, albo ponura bladeść nieułagodzonego zrzędy.

Przymiła się doń mężatka, aby pożyczył pieniędzy mężowi. Swata musi się wdowa, aby z potomstwem pierwszego i drugiego małżeństwa wprowadzić się do gotowego gniazda. Drwi zeń dziewczyna, jeżeli zmuszona jest wolą rodziców, układających w głowie przyszłe przedślubne zapisy, cierpieć go w liczbie adoratorów ubiegających się o jej rękę. Nakoniec, znudziwszy sam sobą, ustępuje pokusom — żeni się na złość suksesorom z młodą.... i znajduje nowego a najzawziętszego swemu szczęściu nieprzyjaciela.... w sobie samym.

Przez większą połowę życia wko-rzenione nałogi, spokojny i miły nieład domowy, opryskliwa samowładność, wszystko nowemu rzeczy po-

rządkowi gwałtem ustępując, jak szatan z nawiedzonego wyparty, muszą nadwerężyć którekolwiek ogniwo małżeńskiego związku. Do tych niesmaków łączy się nakoniec podejrzliwość — choroba niedoleźnych, niemogących w swém przekonaniu pogodzić wierności i przywiązania młodej żony z własną małowartością; i ta najczęściej niszczy do reszty ostatki spokojności źle dobranego stadła.

Lecz znowu nie masz twierdzenia bez wyjątków. Major.... ma wprawdzie lat czterdzieścia; lecz umysł zdrowy w czerstwém ciele; znajomość świata i tonu lepszych towarzystw, wśród których całą młodość i wiek średni przepędził, i których nie przestał być rozkoszą i ozdobą; rozum wzbogacony nauką i doświadczeniem, umiejący żyć z ludźmi, a obejść się i bez nich; czy-

nią Majora wyjątkiem z tłumu opisanych kawalerów marcowych.

Major, niegdyś młody Adolf, miał lat dziewiętnaście. Podkomorzyna, natenczas piękna Zosia, szesnastą liczyła wiosnę. Kochał ją Adolf, a terazniejszy Major; i podobno najpierwsze w niej wzbudził i przejął westchnienia.

Dzisiaj po kilkonastoletniem rozłączeniu osiadł on w pięknej wsi, odziedziczonej po stryju, o dwie mile od rodzinnego domu Podkomorzynęj, do którego po zgonie swych rodziców i męża, miłą każdemu pociągnięta skłonnością, ładna i bezdzietna wdówka wróciła.

II.

—**P**ODKOMORZYNA będzie Majorową na końcu powieści— pomyśliłeś, Czytelniku! I zgadłeś. Mógłbyś więc i porzucić książkę. Ale w którymże to, by najslawniejszym, szczególnież z dawniejszych nieco romansów, od pierwszego zaraz rozdziału rozwiązania i losu głównych osób zgadnąć nie można? I dla tego współbracia moi, autorowie, ale nowych i rozumniejszych ode mnie wyobrażeń, w dzisiejszych swych płodach, pragnąc zmylić przenikliwość

czytelnika, gdy on spodziewa się na końcu wesela, raptem dają mu pogrzeb.

Moja też powieść jest trochę starszej daty i dawniejszego trybu. Świat porozumniał. Autorowie dziś, mając inną jak dawniej kanwę, z obyczajów ludzkich utkaną, i inne wzory w towarzystwie, inne też na niej i z nich wytykają obrazy. Inaczey być nie może, aby było prawdopodobieństwo w dziele. Mógłbym dobrą wiarą, odmalowawszy na przykład młodego trzpiota; żywego, zakochanego w całym rodzaju niewieścim; leżącego za wesołością i zabawami; niemyślącego wcale o jutrze, a tém bardziej o posagach; mogącego śmiało w swobodzie myśli zaśpiewać:

„Każda piękność dla mnie równa,
„Kiedym żywy, hoży, młody,

„Czy szlachcianka, czy Królowna,
„Czyli żona Wojewody;” (*)

tracącego wprawdzie częstokroć fortunę, ale pełnego życia i zapалу; czulego, wybornego serca; dla miłości, dla przyjaźni, dla szlachetnego czynu, poświęcającego się ochoczo i bez namysłu — gdybym, mówię, taką odmalowawszy kopię, wmówić chciał, że podobną jest do oryginału z dzisiejszych czasów! — Ale gdzież tam? — powiedziałby każdy — gdzież tam! Oryginał twój dzisiejszy daleko mędrszy od twojego trzpiota. Patrz! oto salon pełny piękniutek i miłutek dziewcząt, a twój oryginał ani zważa na nie; uciekł on od nich do czwartego pokoju: bo nie lubi subiekcyi; i tam pali cygaro i gra w preferansa, od którego

(*) Zaleski — Duma Mazeppy.

wstanie po północy; a o dziewczętach chyba wtenczas pomyśli, gdy, z rozliczki na rozliczkę wpadając, posagich rozliczać zaczną. Biedne zaś dziewczęta wodzą się gęsiorem po pustych pokojach; a mamunie klną w duchu tegowieczną manierę młodzieży. —

Więc gdybym, dogadzając miłośnikom terażniejszych szalonych romanśów francuzkich, postanowił wśród nas wyobrazić i napisać podobne awantury: gdybym sobie stworzył z półtuzina zabójstw, i zakamieniałych zabójców i bandytów, szastających sztyletami na prawo i na lewo, i toczących krew rynsztokami; gdybym wmieszał pomiędzy nich parę zapamiętałych kochanków, a którzyby w dowód miłości podali sobie na końcu arszeniku, lub, przywiązawszy wzajemnie kamienie do szyi, w czułym uściśnieniu poszli na

dno ; gdybym jeszcze dorzucił do tego z parę podłych intrygantów, bezwstydnego zwodziciela, i tym podobnych; a zmieszawszy to razem, zadal tego literackiego blekotu czytelnikom, i za każdą kartą targał ich nerwy i cały organizm; a choćbym i przydał tam, jak na próbkę, trochę cnoty, trochę niewinności, trochę chrześcijańskiego ducha; czyżbym zdołał wmówić czytelnikom, że to jest obraz naszych obyczajów i naszych towarzystw?

—A mój Dobrodzieju!— powiedziałby mi niejeden pocziwice — poczekaj ze swoim piórem, aż dojrzejem do téj doskonałości, że będziemy mieli oryginały własne tych krwawych i jaskrawych kopij. Przyrzekasz w godle swoim „służyć pocziwój sławie;” a toć wyraźnie *niepocziwój sławie* słuchasz — i t. p.

Gdybym nawet (niestety! a to już może nie od nas samych tylko zawisło) chciał nasz dawny *humor* (ale nie *humor* angielski, ponury i mglisty, jak ich niebo, ale nasz żartobliwy, *ga-dativus*, wąsaty, rubaszny, dworski) wprowadzić na dzisiejszą scenę, zapytanoby mnie zapewne (i poniekąd słusznie): — Gdzież on jest? Dziś w żartach naszych bywamy złośliwi, ale nigdy prawie dowcipni; a przynajmniej nigdy dowcipni, gdy niezłośliwi....—

A tak, gdy trudno, w naszych i o naszych czasach pisząc, zgodzić *anomalie* z prawdopodobieństwem, cofam się więc o lat dwadzieścia z górą i kontynuuję moją powieść.



III.

— *Doux souvenir vaut mieux que l'espérance* — powtarzał Major, prowadząc pod rękę swoje niegdyś Zosię po długich lipowych ulicach starożytnego jej ogrodu, po których przed kilkunastą laty bystre i lekkie ich wyścigały się stopy. W jakimś romansie Pani *Genlis* wyczytał on tę sentymentalną sentencję, i dodawał jakby kontynuację: — *Szczęśliwy, kto jedno i drugie posiada!* — A gdy tak naturalną koleją, jakby po pochyłej dróżce, miał zejść

Major do oświadczeń uczuć swoich, które ona dawno w nim, a bodaj i w sobie, odgadła; gdy już się namyślił.... miał zacząć.... i zaczynał.... jankane i nieśmiale wyrazy.... przerywała mu je przenikliwa wdówka przypominaniem wypadków dla obójga tu niegdyś zdarzonych, już to zabawnych, już to tkliwych, w wesołe dziś przez nią zamienionych żarty. I tak zbity z toru kochanek odkładał znowu na jutro swoje oświadczenia i nadzieje.

Co z piękną wdówką, to nie z młodą dziewczyną! Ta słucha bez wstrętu oświadczeń: bo, fałszywą niewinnością osłonięta, udaje, że ich nie rozumie; pierwsza zaś wręcz im zachodzi: bo przenika, co powiedzieć mamy, i wylatujące, że tak powiem, wyrazy albo nazad do ust wraca, albo z wiatrem przepuszcza. Tamta zaploniona

nie śmieć wznieść oczu i do woli rodziców odsyła; ta, nie mając do kogo odesłać, sama przygotować się musi do przyjęcia lub odrzucenia ofiary. Dziewicy tarczą malutka obluda; wdowy, zalotność, częstokroć, niestety! w stanie małżeńskim nabyta.

Dla czegoż Podkomorzyna, kochając Adolfa, sama wzajemnie i prawdziwie odcień kochana, oddalała dobrowolnie moment wspólnego ich uszczęśliwienia? — ha! bo też, jako wyżej powiedzieliśmy, czując tkliwie, panując bezpodzielnie i wybierając dowolnie, nie śpieszyła się piękna wdówka z wyrzeczeniem *słowa*, które, to życie jej uroczę na rzeczywiste zamienić miało; a lubo w związku z Majorem daleko więcej obiecywała sobie szczęścia, niżeli z pierwszym swym mężem, którego ani przed szlubem, ani po szlubic

nie kochała, i któremu z woli tylko rodziców, upatrujących wszelką przyzwoitość w tém jej zamążpójściu, z nagłą oddała rękę; wszelak знаła ona, że małżeństwo, by najszcześniejsze, jest zawsze, a przynajmniej byćby powinno, szczególnie dla kobiety, niejakim rodzajem uległości; i że, jak mi powiedział pewny mój przyjaciel, najszcześniejszy na świecie małżonek: „małżeństwo jest jak stare wino reńskie: zdrowe, wyborne, wyśmienite; ale ma w sobie zawsze trochę kwasu, który niekażdemu podniebieniu się podoba, i niekażde podniebienie go zniesie, chociaż właśnie w tym kwasu jest moc jego *sanitarna*.”

Dla tego też zapewne w modzie dziś szampańskie: mussujące, jak *młodość*, upajające prędko, jak *swawola*, Nadto, gdy mi przychodzi zgadywać

uczucia, sprzeczności i tajemnice serca kobiety, mimowolnie, a to już po raz drugi w moich Obrazach, nawijają mi się dwa wiersze z Raju Utraconego, któremi *Milton* zalotne wstręty matki rodu ludzkiego doskonale maluje:

„Z powolnością się łączy jakaś skromna pycha,
„Co tём bardziej pociąga, że trochę odpycha.”

Jako matka przyszłego niezliczonego pokolenia matek, jako pierwowzór niewiasty, musiała mieć ona wlane sobie zarody wszystkich doskonałości i słabości niewieścich, które spłynąć miały na całą pleć rodowod swój od jej wiodącą — jak ziarno zawiera w sobie zarod rośliny, kwiatu i owoców, rozplenić się zeń mających.

Przy najponętniejszych więc wdziękach ciała musiała mieć inne jeszcze dary i zalety umysłu; które po niej, wraz z wdziękami, w rozmaitym po-

dziale odziedziczywszy jéj córy, panują nad nami, jak ona nad ojcem naszym Adamem; bez których wdzięki obejść się nie mogą, a które częstokroć bez wdzięków się obejda, i przywiązują nas duszą i sercem do niepięknej ale miléj kobiety.

Te wszystkie dary, zdolności, przymioty, w których cała sztuka podobania się i panowania kobiet zawiera, a które one mają wrodzone, i chowają do użycia w głowie jak broń w arsenale, razem wzięte i nazwane stanowią *rozum kobiety*, stokroć rozumniejszy od rozumu męskiego....

Ale gdy tak ważna materya, *materia gravis*.... *materia status*, że tak powiem, i sprawiedliwie: bo idzie tu o *status* połowy rodzaju ludzkiego, od której druga połowa zupełnie zawisa, weszła na uwagę i pióro autorskie, po-

święćmy więc jęj jeszcze jeden epizod.

Sławny *Sztern* cały jest w epizodach. Jego *Tristram* (*) i inne wszystkie powieści są jak parawany tak gęsto landszafcikami zaklejone, że ledwo gdzie niegdzie dostrzeżesz między nimi materji czy papieru pokrywających ramy; opatrujący zaś, przechodząc od obrazka do obrazka, bawi się i duma nad każdym, a o kolorze i gatunku głównego pokrycia ani pomyśli.

(*) *Tristram Schandy* — powieść Szterna.



IV.

Rozum Kobięcy.

O KOBIEĆY! dalbym wam tynfę szelągami, gdybyście mniej rozumnymi były!... bo nasz rozum ogarniony waszym rozumem taje, topi się i niknie, jak lod wiosenném przejęty słońcem. I dla tego to właśnie najprawdziwszą jest prawdą, że zakochany głupieje.

Rozum kobięcy tak się ma do rozumu męzkiego, jak lśniący tysiącem ogniów brylant do ciężkiej bryły zło-

ta, która, choćby najświetniej polerowana, nie da ani takiego blasku, ani się opromieni tak wdzięczną tęczą łagodnych i miłych kolorów, ani wyrzuci tysiąca iskier elektrycznych, zażegających serca nasze... Brylant ten, osadzonych w czyste złoto, jest małżeństwo *rozumnej* kobiety z *roztropnym* mężczyzną — najszcześniejsze bez wątpienia.

Cechą i szczególną własnością rozumu kobiecego jest to, że w najskrytszym mężczyźnie miłość ku sobie, a choćby i słabość tylko, odkryje, zgadnie, czy przeczuje.... Ach! głuchoniemegoby przeniknęła!... Wić ona, kiedy się twoje serce zajęło; wić, do jakiego stopnia jest płomieniste i czułe; wić nawet, dopóki goreć będzie: bo wić, jak je podniecać i utrzymywać w zapale.... słowem, wić wszystko lepiej od ciebie, co się w twój duszy

dzieje, chociaż jęj tego nie wyznał, choć ci tego wyznać nie dozwala.

Lecz po tém nieomylném nigdy, sympatyczném, mogę mówić, odkryciu, właśnie dopiero się rozwija w całej potędze jęj rozum, i dobiera sposoby stosowne do exemplarza, jaki się jęj dostanie, jak snicarz dobiera dłóty stosowne do gatunku kłoca, jaki się ma pod jęj ręką kształcić.

Zuchwałego bierze na kawecan i na wodzy trzyma; nieśmiałego do miary ośmiela; skrytemu rozwiązuje usta, a skąpemu worek; gadulę uczy trzymać język za zębami; słowem, otwiera szkołę obyczajową, w której studenci sami się nie postrzegają, jak metodą wzajemnego uczenia kształcą się i doskonalą. A śmiało powiedzieć można, że nie poznał świata, kto przez tę szkołę nie przeszedł.

Śledząc tę doskonałą władzę duszy niewieściej od jej pierwszego zarodu aż do zupełnego dojrzewania i rozwinięcia, mniemamy, że się zaczyna instynktem, tak, jako i w płci męskiej; lecz po tym peryodzie, gdy mężczyzna wchodzi w *paragraf* romansowej czułości i zaczyna pisać wiersze do swojej bogini, kobieta przebywa go owinięta, jak jedwabnik kokonem, powłoką dziewiczej panińskiej skromności, w której dojrzewa piękny motyl, mający wraz z kobierca wziąć swój wysoki polot i świetne kolory.

Rozum ten bardzo się łączy składanie i kolligacji z dobrocią serca; a przynajmniej gdzie jego brak zupełny, tam i o dobroci wątpić należy.

Łagodność i pobłażenie jest jego główniejszym przymiotem. Pierwsza

pociąga serca, drugie je zatrzymuje lub odlatujące zwraca. *Zręcznica, złośnica, kłótnica, zazdrośnica*, nie mają go *pełna*, lub są zupełnie pozbawione tego niebieskiego daru; a choćby która najładniejszą była, wielbiciele, a co gorsza, wdzięki, nader rychło uciekną od tej znarowionej twarzy. *Zręda i kłótnia* wykrzywią jej usta, wykołaczą ząbki, i głos na fałszywą fistułę przestroją; *zazdrość* pokosi śliczne oczki; a *złość*, paląc nieustannie lica, jaskrawym je na zawsze zaczérwieni rumieńcem; i nakoniec na czole co chwila marszczoném zastygną marszczki, z których sympatyczne, niewidome jej samęj, lecz wszystkim bardzo czytelne, przedwcześnie wyformują się gzygzaki, podobne do liter: s. t. a. r...

Dokończ, Czytelniku, jeżeliś łaskaw: bo ja nie mam serca.



Liter tych w dojrzałszym nawet wieku nie ujrzysz na czołe roztumnéj kobiety; na czołe zawsze pogodném, zawsze wesolém, zawsze miłym; na którym myśli dowcipne, żywe, głębokie nawet, jaśnieją, migocą, przemykają się, nieujęte przymusem, nieobciążone nudą lub przekorą, snując czarowne wniki, w które wpadamy, i wypłatać się z nich nie możemy, a nawet nie chcemy.

Pragnieszże widzieć ten rozum w praktyce? w pełném rozwinięciu się jego potęgi i delikatności razem? to się staraj bycź świadkiem, gdy doświadczony, śmiały, rozumny po swojemu, znający, a przynajmniej mniemający, że zna sztukę podobania się kobietóm mąż stanie naprzeciw roztumnéj także po swojemu kobiety, i gdy te dwa rozumy wezmą się na próbę. Dopiero

powtarza się umysłowa walka *Peleja* z *Tetydą*.

„Chce ją nienękniiony syn Eaka pożyć, (*)

„Chce Tetys złamanego pod swe stopy złożyć.”

I szczęśliwsza, a raczej rozumniejsza kobieta śmiertelna od nieśmiertelnej wnuczki Oceanu złoży pewnie przeciwnika pod swe stopy.

Uważaj ich wyrazy, odgaduj myśli: bo słowa ich natenczas sprawdzają najdawniejsze owo n zdaie starego dyplomaty, że mowa dana jest człowiekowi nie na objawienie, lecz właśnie na ukrycie myśli. Ukrycie to jednak, a raczej okrycie, jest z przezroczystej gazy. Rozumieją oni dokładnie dykcyonarz synonimów, jakiego używają, zawiązując mowę w światło-ciemne peryody.

Smiejszym krokiem postępuje mąż-

(*) Zofiówka.

czyzna. Modyfikuje on wprawdzie wyznania; w łagodne je i gładkie obwija jedwabie, aby nie raziły od razu; lecz, postępując coraz na przód, dójść chce, choć powoli, do rozpoznania drog do serca i miejsc doń przystępniejszych; jak wódz dobry (a to porównanie, nie-raz już użyte, samo się następuje) stara się pod ogniem fortцы rozpoznawać jej waly, i ryć skryte podkopy, w których nagle potem zapali miny.

Ale zgaduje niebezpieczne zamiary jego przenikliwy rozum niewieści; płacze go jedném słowem we własnych jego sidłach; zrywa je potem, jak pajęczynę, i niszczy od razu skutek długich i pracowitych omówień i wysileń!... a razem nowém słówkiem nadziei nową wzbudzając żądzę, w nowe błędy i w nowe usiłowania wprowadza. Szczęśliwszy w powtórném, trzeciém, czy

czwartém natarciu, już ją tak ściśle okrzył, tak wszędzie zaszedł i zaprzeczył wycieczki, że musi nakoniec dać się przeniknąć i przyjąć wyznanie wymagające szcześniejszego wyrazu. Oh! próżna nadzieja!... Zna ona, że tym wyrazem musiałaby być albo litość, której on wzywa, a którą zjednawszy, nudziłby ją codziennymi skargami, jak żebrak codzien nowęj proszący jałmużny; albo wzajemność, której nie ma, i która daleko prowadzi; albo odprawa, której dać nie chce. A tak wylatuje zręcznie z koła, którem on ją okrzył, musnąwszy mu tylko, jak liszka figlarna kitą po nosie — i bywaj zdrów! ścigajże ją teraz. Oto już na lekkich i świetnych piórach unosi się nad tobą.... Uklekniesz wraz przed tém bóstwem, któregoś na ziemi ująć i uwięzić nie umiał.

Chceszże widzieć ten rozum w dyplomacyi? — obierz cel trudny, a do osiągnięcia konieczny, i oddaj się ładnej a rozumnej kobiecie w opiekę. Jeżeli szczerze ci oną zaręczy, cel twój spełniony! W próżni choćby znajdzie ona punkt oparcia się, i mędrsza od Archimeda dźwignie cię w górę. Ludzie nieznajomi tobie, jak samoruchy skrytymi sprężynami nakręcane, chodzić i działać będą dla ciebie; najupartsze podwoje o tworzą ci się nawścieżaj; najdumniejsze czoła ugną się przed tobą. A tych wszystkich cudów, którychby tuzin najtęższych głów męzkich nie dokazało, jedna piękna i rozumna główka kobiety z łatwością trudną do pojęcia dopnie.

Sprawiedliwy jest więc wierszyk w przysłowie już zamieniony:

„My rządzim światem, a nami kobiety!”

Lecz może poeta rozumiał, że kobiety siłą swych jedynie wdzięków rządzą nami. Otoż w tém omyłka.... bo najpiękniejsza a głupia rządzić tylko będzie albo młodym gapiem, albo starym wyczerpanym ciemiegą; a tacy ichmość, chwała Bogu, światem nie rządzą.

Nie rozumiemy wszakże, aby rozum ten pozbawiał kobietę tkliwszych uniesień, lub gasił iskrę uczuć tlejącą bezustannie w sercu każdej niewiasty, a rozplomieniającą się niekiedy mocniejszym ogniem w daniej okoliczności i czasie. Nie. Rozumna kobieta zakochać się może, jako i każda inna, niższa od niej przymiotami umysłu. Podobac się jej i wzbudzić w niej miłość nie jest rzeczą niepodobną. I jakaż to chluba i szczęście!.... Lecz im droższy jest to skarb, tém go trudniej posiąść.

Zaklęty on jest głęboko!... głęboko!!!
 Nie prawdaż? piękna i rozumna Czytelniczko moja! Wyrazów czarnoxieżkich, otwierających doń wejście, niestety! ja nie wiem, i w żadnych książkach nie wyczytałem.

Najwłaściwszym takięj książki autorem byłaby samaż kobięta, wydająca dzieło pod tytułem: *O skutecznym sposobie wzbudzenia w nas wzajemności.* Cóż tu byłoby prenumeratorów!.... Lecz czyliż kobięta szczęrá bydźby tu mogła, gdy własny ich i dobrze zrozumiany interes radzi im ukrywać drogę do ich serca, a puszczać tłumy na błędne manowce, i tylko wybranemu dać nitkę *Aryadny*?

Praktyka więc w tęj sztuce idzie dotąd *usu*, to jest, po omacku. Opisanie takowych praktyk w rozmaitych zdarzeniach ludzkich jest treścią ro-

mansów zalewających dziś świat. Z niektórych, jeżeli nie teorię słuszną, to przynajmniej po kilka *aforyzmów* wyciągnąćby można. Bodaj jednakże nikt z xiążki nie gospodarzył, z xiążki nie rządził krajem, i z xiążki się nie kochał.

Lecz aby pewniejszą nieco *definiacją* zakończyć już to opisanie przymiotów, własności i siły tego niewieściego *umu*, téj *potęgi* (boć rozum *potęgą* i mądrzy filozofowie nazywają), o ile z fenomenów, ze skutków, z komparacyj, z prób rozmaitych, sądzić mogę, do składu rozumu kobiecego supponuję, że wchodzą takie i w takiej mierze *ingredyencye*: weź trzy miarki *rozumu męskiego* w najlepszym gatunku, dwie miarki *czystej zalotności*, trzy miarki *dowcipu* — *mi-sce—fiat....*

Jeżeliby która z Czytelniczek moich uznała niedostateczność *perskrypcyj*, niedocieczoną *ingredyencyę* raczy na marginesie zanotować.

Abym odrazu był znowu na tropie mojej powieści, powiem, że Podkomorzyna posiadała ten rozum w całej okazałości. Władzą to jego trzymała ona Majora, i siebie nawet, w pewnej odległości i za pewną granicą, za którą gdyby krok tylko.... jużby on był u nóg jej, a ona odtrąciłaby go nie miała siły. Dotąd więc Pan Major był tylko przyjacielem Pani Podkomorzynęj. Nudnaż to rola bydź przyjacielem ładnej kobiety! Jest to bydź zawsze drugim, jest to bydź na przykład *vice-Marszałkiem*; a wiadomo, że nikt nie cierpi tego *v* malutkiego, sterczącego przed swém dostojenstwem; z tą

różnicą, że *vice*-urzędnik zastępuje niekiedy samego urzędnika; zaś *vice*-kochanek, czyli przyjaciel, nigdy nie zastąpi samego kochanka; chyba w codziennych posługach robienia dla Pani sprawunków za swoje pieniądze.

Stronnik nowój agronomii Major wywierał wpływ swojego systematu na wszystkich swoich sąsiadów; a u Podkomorzynęj codzienne jego rady i przestrogi do tego doszły stopnia, że mu ona zupełny ster bezładnego swego gospodarstwa powierzyła; a że miłym jęj prośbom odmówić nie mógł, widział się więc w konieczności przynajmniej dwa razy na tydzień dać osobiście instrukcye staremu Podkomorzynęj Kommissarzowi; których gdy ten, uparty przy dawniejszym trybie, nigdy należycie nie spełniał, musiał znowu Major i wykonania onych także osobiście

pilnować; a tak jedno z drugim, dwie części czasu u Podkomorzynéj, a ledwo trzecią u siebie przepędzać. Było to źle i dobrze dla zamiarów jego: dobrze, bo w codzienném towarzystwie miléj osoby tysiączne znajdował przyjemności, bo co chwila mógł ją o swoim przekonywać przywiązaniu; źle, bo to mało przerywane *razem* przyzwyczajalo doń kochankę; a przywyknienie, jeżeli częstokroć zmienia się w miłość, częściej podobno odejmując powab nowości, gasi ją, niestety! Zsyłam się tu na dowód do wszystkich małżeństw na świecie.

Lecz wśród tych rozmaitych ustępów poznajmy się z jednym jeszcze aktorem téj powieści. Jest to o lat kilkanaście młodszy brat Majora młody Leon, przystojny, dowcipny, pięknie

wychowany, pusty i żywy jak dziecko zepsute, pojętny i przenikliwy jak stary jurysta, romantyczny i sentymentalny jak poeta. On sam jeden był pieczęcią i jabłkiem niezgody wszystkich naokoło dziewcząt; on połączone mi talentami rysunku, muzyki i poezji zawracał ich główki, a ozdabiał imionniki. Major kochał go serdecznie. Leon kochał starszego brata i považał; a ta *rara concordia fratrum* trwała między nimi w całej ścisłości, tém mocniejsza, że nawet przy kobietach wiek braci oddzielał stosowne dla obu działania sfery. Leon uważał Podkomorzykę jako przyszłą bratową, i prawie nieodstępny bywał towarzyszem brata w jej domu; a w chwilach, kiedy zakochani, bardziej sobą zajęci, zdawali się zbliżać do wzajemnych pofań; w chwilach, w których świadek

jest potrzebnym i natrętnym; w których wyprawić go nie godzi się, a cierpieć go niemilo; wyrozumiały Leon siadał do fortepianu, brał na nim mocne akkorda, nócił piosnki, lub pędzał kule po bilardzie, najsztuczniejszych dokazując dubletów; w inszych zaś godzinach bywał najprzyjemniejszym członkiem tego małego towarzystwa.



V.

—Co Pan myślisz robić z takim množstwem kartofli, której się spodziewać możemy, patrząc na te długie jój sznurzy? — zapytał Pan Mateusz, stary Kommissarz Podkomorzynój, Majora obchodzącego z nim gospodarke. — Za nieboszczyka Pana zasiewaliśmy jój ledwo garncy kilkanaście, a najwięcej kilkadziesiąt; i cała użyla się potém do sztuki mięsa; a teraz nowomodna gospodarka (niech to Pana nie obraża) sprowadzi nas podobno z żyta, a karmić bę-

dzie kartoflanym chlebkiem. Dowodzą nawet, że smaczny i wyśmienity; ale niech pierwszym kęsem się udawię, jeżeli go kiedy ukąszę....—

—Nie przeklinaj się darmo, Panie Mateuszu! — odpowiedział Major, uśmiechając się z pobłażeniem wkorzenionym uprzedzeniom starego. — Nie przyjdzie do chleba z kartofli, gdy go tak nie lubisz. Przepędzimy kartoflę na gorzalkę. —

—Wódka kartoflanka kwaśnieje!— zawolał stary.

—Tém rychlój wypić ją potrzeba będzie — rzekł znowu Major; i poznał po nagłym rumieńcu staruszką, że go niechcący obraził: bo Pan Mateusz ostatni ten dowód wziął za przymówkę, nie mogąc w duchu zaprzeczyć, że sam jeden we dworze najwięcej się przykladał do rozchodu *aquaevity*. Nie chciał

się jednak zakłóć co do wódeczki, jak się zaklinał względem kartoflanego chleba: bo myślał sobie: — nie będę mógł jej zakosztować?.... a jeżeli będzie dobra?... a jeżeli najmniej od żytniej różnić się nie będzie?... oszukam się czasami i duszę zgubię.... — Wszakże obrażony mruczał krnąbrnie, kiwał głową i szedł niechętnie za Majorem,

„Jakby niewolnik za swym panem gniewnym.” (*)

(*) A. M.



VI.

Dysputa i Wyzwanie.

NASTĄPIĆ mające przeproszenie ze strony powodowej przerwała Podkomorzyna idąca z Leonem na sąd Majora w dyspucie, ale zupełnie innéj treści.

— Tak — mówiła ona, kontynuując zaczęłą rozmowę — lubię romanse, które staremi nazywacie, a które wyszły już z mody: bo prawdziwa czułość, bo cześć, bo poświęcenie się rycerskie

bez granic dla cnotliwej miłości, wyszło z serc i z obyczajów. Czytając romanse dawniejsze, żyjemy wprawdzie w świecie urojonym, w zachwyceniu sentymentalném; lecz żyjemy z istotami doskonałemi, przenikamy się rozkoszą, jakiej doświadczą serca głęboko dotknięte, i oderwane od téj nędznej ziemi, do której się tak niechętnie wraca!... —

— Tak, tak — przerwał Leon — czytelnik uniesiony natenczas romantycznie i sentymentalnie, a wracający potem niechętnie do ziemi, daruj Pani, podobnym jest do szlacheica, który ze wspaniałego i zbytkownego pańskiego obiadu musi wrócić do swego codziennego barszczu, który, acz zdrowy i wyśmienity, nie smakuje mu po łakociach, choć mu jest zwyczajną strawą, na której przestać powinien. —

— Liche porównanie, Leonie! jak i wielka część waszych romansów, których ważniejsze sceny, częstokroć w karczmach lub na rozdrożach, między podłym motłochem się odbywają.—

— Alboż tam w życiu pospolitem bywać częstokroć nie zmuszeni jesteśmy? alboż wszystkie wypadki onego nie zależą od osób z rozmaitych klass towarzystwa nas otaczających? Powieść więc, romans, drammat, jest właśnie obrazem życia. Aby więc był prawdziwym, musi wszelkie osoby i kombinacye w rzetelnym i prawdziwym, a przynajmniej prawdopodobnym oddawać stanie i światle. Ztąd wniosek.... —

— Cóż na to? Majorze! — przerwała wzajemnie Podkomórzyna, widząc, że Leon na długą dySSERTację zakrawa. Przecież do twojego przychodzi my sądu. —

— Nie jestem autorem, więc zdaje mi się, nie jestem i sędzią właściwym. —

— Owszem — rzekł Leon — sąd o autorach do czytelników należy, tak, jak wyrok o aktorach, do parteru. —

— Idzie tu, jak uważam, Państwu — mówił więc obrany na sędziego Major — nie o autorów w szczególności, ale o wartość i różnicę dawniej i nowo-rozwijającej się szkoły roman-sowego pismiennictwa. Każdy tu, i wszędzie, sądzi podług wrażen, jakich w czytaniu doznaje; a te znowu wrażenia wynikają nie tak z treści pisma, jak raczej i najczęściej z usposobienia czytelnika. Tkliwe serce Pani, nawy-
kle do miłego jednoczenia się z osoba-
mi i wypadkami unoszącemi wyobraź-
nię, a rozrzewniającemi głęboko du-
szę, nie podoba sobie w opisach i sce-
nach wybitniejszych a pospolitszych,

w których siła przemaga, w których więcej czynu niż uczucia, podobniejszych do praktycznego życia, a zatem upodobańszych nam, którzy właśnie tém życiem żyjemy. —

— A więc do waszego praktycznego życia nie wchodzi ani czułość, ani tkliwość serca? —

— Ach! Pani! wchodzi miłość, na szczęście czy na nieszczęście nasze; wchodzi najczynniej, i rozbudza wszystkie władze duszy, i czułość, i tkliwość; słowem, robi nas sposobniemi ku najżywszym zapalóm i zdolnemi na bohaterów romansowych. Wszelakoż, Pani, gdy mam bez żartu powiedzieć moje zdanie o romansach, i rozwiązywać spór Państwa nie uczonemi wywodami, bo na nie się nie zdobędę, ale prostém mniemaniem, za pierwsze więc twierdzenie i fundament zakładam to, że romans

jest obrazem życia, jak mowa jest obrazem myśli. Życie zaś nasze, w całej swjej szerokości brane, ani jest ciągle zalane łzami, ani ciągle uniesione, nadziemskie, duchowe. Autor więc kłamię dziełu Bożkiemu, gdy, rozwodząc zeń drammat, obiera je z najpiękniejszych ozdób, to jest, z chwil szczęścia, radości, wesela i ukontentowania; lub z chwil spokojnych, cichych, błogich, jednoczących człowieka z sobą samym i z naturą; lub też z energicznych popędów, męzkim zapalem pchnących go na rozdroża; z chwil nakoniec błędu i śmieszności, tak właściwych słabemu rozumowi ludzkiemu, pnącemu się zawsze nad swoją sferę i siłę; słowem, z tego wszystkiego, co nie jest jękiem, wzdychaniem, płaczem lub tęsknotą. Szukać on powinien na świecie i między ludźmi *prawdy* w czy-

nach ludzkich, w czynach mądrości lub głupstwa, zapędu lub umiarkowania i roztropności; charakterów wydatnych w jednym lub drugim względzie; i przyczyn całej plątaniny towarzystwa; słowem, *prawdy* duszy, serca i namiętności, złączonych w *prawdzie* codziennego życia, a służącej za dowód, (na coby autorowie najpięrszy względ mieć powinni), że *cnota* jest także *prawdą*.... —

— Bydź może i to prawdą, co mówisz, Majorze! — rzekła Podkomorzyna — ale mi się to zdaje zanadto zwiększe, zawikłane, ogólne i dwóznacze, a zatém nierozwiązujące naszej dysputy: bo twój wyrok do własnych wyobrażeń obie strony zastosować mogłyśmy; przecież to żeń tylko wniesć mogę, że w twojem mniemaniu każdy dzień życia naszego mógłby bydź tre-

ścią romansu, powieści, lub innego tytułu dzieła w takim rodzaju. —

—Życie powszednie, pospolite, swobodne od burz miotających na świecie losami ludzkimi — odpowiedział Major — mało wprawdzie podobnóm jest do jakiegokolwiek opisu; ale życie wewnętrzne, z niém połączone, taki mu interes nadadź może, takim przywiązać urokiem, że najmilszą a czystą i łagodną rozkoszą napelni czytelnika. Bo w tém życiu wewnętrzném, spokojnego choćby poczciwca, kopiącego szczupłą grządkę karmiącej go ziemi, ileż bywa codziennych uczuć, walk, smutków, rozkoszy, uniesień, śmieszności niekiedy? które, wynurzone na jaw, w skutkach i czynach z sekretu wydane, niejedną zacną, treściwą, a przyjemną i pożyteczną wysnuły xiązkę. Ale na to potrzeba talentu.... —

—Na to potrzeba wszystko tu z nog do głowy przewrócić—odezwał się głos chrapowaty, przerywając perorę Majora.

Obrócili się wszyscy z podziwieniem, i postrzegli głowę Pana Mateusza wytkniętą przez zadymione okienko z gorzelni i powtarzającą też same słowa. Podczas bowiem nieinteresującej go sprzeczki o romansach, Pan Mateusz wszedł do gorzelni, do której groblą po nad stawem cała kompania się zbliżyła; i tam odbywszy jeszcze gorętszą dysputę o pędzeniu wódki z kartofli między sobą, jako Komissarzem staréj daty, i sobą, jako nowym agromem, skonkludował na wniosku, który w uniesieniu przekonania wykrzyknął przez okienko.

Major wytłómaczył Podkomorzy-
nie powód swój z Panem Mateuszem

sprzeczeki, i wszyscy razem weszli do gorzelni.

Znaleźli tam starego łażącego po naczyniach i rusztowaniach i rozrzucającego wszystko.

— A cóż tu dokazujesz? Panie Mateuszu! — zapytał Major.

— Stosuję wszystko do planów Pańskich — odpowiedział on tonem oznaczającym niewygasłą jeszcze urazę.

— Czyż plany moje każą wszystko rujnować i niszczyć? — rzekł Major, umykając od beczki, która, zepchnięta nieuważnie z góry przez Pana Mateusza, toczyła się doń z impetem.

— A jużciż na kartoflankę potrzeba innego przyboru, czy, jak Pan zowiesz, aparatu, który widziałem we własnej Pańskiej gorzelni. Kocioł ten nawet, w którym Pan przed kilkunastą laty

siedziałeś, na banię przerobić wypadnie. —

— Jak to ja w tym kotle siedziałem? — zawolał zdziwiony Major.

— A siedziałeś. Przypomnij Pan sobie. Nieboszczyk Jegomość odkupił go wnet po awanturze Pańskiej od stryjaszka Pańskiego, także już nieboszczyka — niech w kotle... tfu! chciałem powiedzieć: w niebie — specyzują obadwaj! Dno tylko kilka razy odnowilem, a boki też same. —

— Prawda, prawda — rzekła śmiejąc się Podkomorzyna. Pamiętam ten twój kłopot, Majorze! —

— Z którego, nie chwaląc się — dodał Pan Mateusz — ja, jak mogłem, wydobyłem Pana natenczas; a za to teraz... ale gdzie wdzięczność na tym świecie? —

— Pamiętam i ja — mówił także

Major.—Jeżeli to ten sam kociel, powinienbym go od Pani na pamiątkę odkupić. Śmieszne zdarzenie!—mówił dalej Major. — Nieraz, opowiadając je później kolegom, i niedawno Leonowi, sam się naśmiałem. A jednakże wpłynęło ono na los mój, i na kilkanaście lat późniejszych mego życia.—

—Jak to byź mogło? — zapytała zdziwiona Podkomorzyna. — Dotąd tego nie wiedziałam. —

—A przecież najważniejszą mego natenczas postanowienia pobudką było uczucie moje dla Pani!—

—Jeżeli tak jest — rzekła ona, nie zważając jakoby na ostatnie słowa Majora — jeżeli to zdarzenie śmieszne wpłynęło na kilkanaście lat życia Majora, więc, Leonie, oto gotowa treść do romansu w waszym teraźniejszym rodzaju. Stwierdź przykładem swoje ro-

zumowania: napisz przynajmniej powiastkę ze zdarzenia twojego brata; a może mnie nawrócisz do swojej szkoły. Inaczéj, Panie, nie mam przekonania, a zatém i trwam przy swoim. Choćbyście mnie upartą ogłosić mieli, nie będzie to nowe płeć naszej oskarżenia. Cóż na to? Leonie! Milczysz, więc przyjmujesz wyzwanie! —

— O, nie, wcale nie. Na ten raz nie bierz Pani milczenia za zgodę — odpowiedział Leon. — Nie mam ja talentu autorów, których bronię; a z nich żaden podobno nie utworzyłby choćby tylko powiastki ze zdarzenia nader blałego i z rzeczy nie nieznaczającej. —

— Jak to nie nieznaczającej? Alboż nie wpłynęło, jak sam wyznaje, na los Majora? Więc z małej przyczyny wielki skutek. A w twoim ulubionym

Fioldyngu (*), w twoim *Lesazu* (**), w twoim niewyczerpanym balamucie *Pigolcie* (***), (autora Wawerleja, który wszystkie zdania pogodził i zjednoczył, jeszcze widać nie było), nie znalazłbym scen równie blahych i śmiesznych, a przecież, jak mówicie, malujących prawdziwie czasy i obyczaje? *Z niczego o wszystkiem!* to mi to sztuka! a podobno moda i godło dzisiejszych gieniuszów. Wszakże tylko co mi powiedział Major jak z katedry, że autor szukać powinien prawdy we wszelkich czynach ludzkich, w czynach mądrości lub głupstwa, i przyczyn całej płataniny towarzystw. Owoż gotowa przyczyna, która zaplątała życie jego, przyczyna z życia pospolitego, które z życiem wewnętrzném po-

(*) Autor *Tomdżona*. (**) Autor *Gilblasa*.

(***) Autor wielu romansów francuzkich.

łączyć łatwo możesz. Jednym słowem, nie ustępuję ani kroku, i oto masz moje *wyzwanie*. —

To mówiąc, zdjęła rękawiczkę i rzuciła ją przed Leona. Korzystając ze zręczności i straciwszy z uwagi cel dysputy, Major ujął piękną rączkę wdówki i całował serdecznie. Leon dumiał, czy ma podjąć rękawiczkę, a tym samym przyjąć powinność autor-ską? Czuł on, że Podkomorzyna walczyła z niemi własną ich bronią; a niebardzo mu się chciało okazać się niezdolnym do napisania choćby tylko powiastki.

Podkomorzyna zaś, przybrawszy ton i postać heroiczną, rzekła: — Obyczajem dawnego rycerstwa, którego dzieje i tkliwych dziejopisów uwielbiam, wyzywam cię, Leonie, na utwierdzenie dowodem zarzutów, któreś gło-

sem i słowy ważył się przeciw nim objawić. Zakład mój leży przed tobą. Ośmielisz się go podjąć?—

Leon jeszcze rozmyślał, i milczał na kilkakrotne: — No i cóż? no i coż?— wyzywającój; gdy brat jego, od którego odjęto już długo pieszczoną rączkę, zawołał: — Damyż się zwyciężyć? Leonie! Czyż ani kropli nie najdziesz w sobie dowcipu na obronę własnego zdania? To być nie może!—

— Papi! — mówił więc Major — gdy niespodziane twoje natarcie tak ogłuszyło Leona, że stracił zaufanie we własnych siłach, i gotów wydać na sztych reputację własną i przenajslawniejszych wieku naszego autorów, przeto ja, wspomagając go w tej niebezpiecznej dlań chwili, w jego imieniu przyjmuję wyzwanie, podnoszę zakład; i wzajemnie ogłaszam, że placem po-

pisu będzie salon Pani; a czasem, godzina jutrzejsza ranna dziewiąta. Lecz gdy Leon spełni warunki zadania, sprawiedliwość każe dodać, że Pani wyznać się będziesz musiała zwyciężoną, i uleść zupełnie zdaniu naszemu co do romansów; a nawet spełnić warunki honorowego wynagrodzenia, jakie zwycięzca przeznaczyć raczy. —

— Amen! — rzekł z uśmiechem zamysłony dotąd Leon.

— Nie! o, nie! nie zgadzam się! — zawołała Podkomorzyna — wolę rzec się zakładu; albo raczej zgadzam się na honorowe wynagrodzenie, ale dla obrażonych przeze mnie autorów: kupię ich wszystkie dzieła podług katalogu przez Leona ułożonego, i przeczytam. To, zdaje mi się, dosyć! —

— Jak będzie, to będzie — rzekł

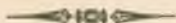
Leon. — Obaczymy jutro, co się komu należy, i co się komu wynagrodzi. —

Spójrzała nań przenikliwie Podkomorzyna, chcąc się domyślić jego projektu; zadawała kilka rozmaitych pytań; lecz gdy żadne się nie powiodło, więc, odłożywszy rzecz całą na jutro, wesoło wszyscy do wieczerzy zasiedli.



VII.

Powieść Leona.



NAZAJUTRZ rano zastawiono w sali kipiący samowar. Piękna gospodyni, od kwadransa oczekując swych gości, przyrządzała herbatę. Wszedł Major, a po niejakim czasie i Leon. Z oczu i cery znać było niewyspanego; ale w ręku trzymał zwój papieru, dowodzący, co go przez noc zajmowało.

— Punkt, dziewiąta! — rzekła Podkomorzyna (bo właśnie wybiła na ze-

garze). To mi rycerska słowność. Zaczniemyż od śniadania — i podając mu szklankę herbaty — Jakież tytuł Pańskiego dzieła? — zapytała.

— Żadnego dotąd — odpowiedział nowy autor. — Ponieważ Pani z bratem moim jesteście bohaterami tej powieści, więc własnym dziejom nadacie, jeżeli zechcecie, i jakie zechcecie imię. —

— To szczególniejsza! A dewiza? czy tam godło? —

— A to na co? —

— Jak to na co? Czyż w każdym prawie nowym romansie nie znajdujemy nie tylko na początku, ale i nad każdym rozdziałem, kilku i kilkunastu wierszy? Jest to zwyczaj wyborny; jest to jak uwertura przed zaczęciem melodrammy, która duchem muzyki obwieszcza treść sztuki. —

—Jeżeli autor przedsięwziął jaką prawdę moralną dowodzić w czynach—odpowiedział Leon—natenczas dobrze robi i właściwie, gdy cel swojego dzieła kładnie widomie i oczywiście na początku; zwłaszcza jeżeli wątpi, że układem i rzeczą objawi go i wyjaśni należycie; lecz taka potrzeba wątpię, aby do każdego rozdziału nieodbitą była. Jest więc próżny literacki zbytek; jest to jak pozłota na oprawie książki, nie-dodająca ani mocy oprawie, ani zalety dziełu; a jeszcze pospolitszym porównaniem, jest to jak kieliszek likieru przed obiadem. Smaczny bywa wprowadzić, zaostrza jakoby apetyt; lecz niepotrzebny jest, gdy obiad dobry: bo on sam go obudzi; niepotrzebny także, gdy obiad niesmaczny: bo go nie poprawi.

—A więc bez dalszych dysput i

wstępów słuchamy Pańskiego dzieła—
rzekła Podkomorzyna.

— Dobrze — mówił Leon, rozwijając rękopis — Zamawiam pobłażenie i cierpliwość słuchaczów do końca bez przerywania: bo jeżeli przerywać będziecie....—

— Ach! nudzisz już, Leonie!—odezwał się Major. — Wątpliwie coś i nieśmiało wstępujesz w szranki. Zaczynaj! —

Leon więc czytał co następuje:

„Nadchodziły przenosiny nowo-złączonęj pary Państwa Hrabiów Z..... w Gwiazdowie. Dostatek młodego, zwiększony znacznym, a co najbardziej, brzęczącym posagiem młodęj; chęć jej świetnego okazania się raz pierwszy w sąsiedztwie, którego odtąd wzorem i cenniejszą miała być ozdobą; wza-

jemne przygotowania wszystkich na mil kilka wokoło mieszkających sąsiadek do wystąpienia jak najwytworniej w toaletach, ekwipażach, liberyach etc.; wszystko to obiecywało taki obchód, jaki, niestety! coraz rzadziej się wydarza. Stanowi on zawsze pewną epokę w okręgu, w którym zaświeci; a mnóstwo pamiątek miłych i niemiłych doń się uwiązując, długotrwałą zapewnia mu sławę.

W Stawiszewie wszystko było gotowo, prócz sukni, którą o mil kilka w miasteczku powiatowém biegła w strojeniu płci swojej dama dawno już uszyć była powinna. Dwóch do niej za wiedzą jegomościa, trzech mimo wiedzy jego biegalo posłańców, których, to skutkiem niecierpliwości swojej, to z nowemi informacyami posyłała Szambelanowa. Nakoniec trze-

ba było ostatniego po odebranie już skończonej roboty i dostawienie jej w całości na miejsce przeznaczone, to jest, na nieszpetną figurkę młodej stryjenki Adolfa.

Lecz możnaż było skład tak drogi, tak delikatny, powierzyć prostemu z wioski pieškowi? — nie podobna! Prosić męża o wysłanie którego z wyższych officyalistów, licząc od lokaja do prowentowego pisarza, prosić męża.... trochę ckliwo.... On dziś w złym humorze.... Jednakże trzeba się odważyć. Więc z minką wdzięczno-pokorną szła, jak pokusa, do męża Szambelanowa...

Przy samych drzwiach zeszła się z zamyślonym Adolfem, w tęż samą stronę idącym.

— Dokąd? Adolfie! —

— Do stryjaszka. —

— A po co? —

— Mam doń maleńką prośbę.

— Prośbę! Łatwiej się skutek na jedną, niżeli na dwie razem otrzymuje prośby — pomyśliła Podkomorzyna. — Wiész co? *mon cher!* odłoż to...—

Wtém niespodzianie wyszedł Szam-belan, i postrzegłszy niejakiś ambaras w postaciach i twarzach obójga, zapytał: o co idzie? a nim odpowiedzieli, zadzwonił na lokaja, i kazał mu zawołać pisarza, dodając, że ma go wysłać właśnie do tegoż samego miasteczka, do którego żona i synowiec trafiać zamysłali; lecz jakże w odmiennym celu!

Słyszac to Adolf, zaproponował siebie na zastępcę mającego się wysłać sługi, i pytającemu się stryjowi o przyczynę, odpowiedział szczerze, że ma zrobić sprawunki i odebrać nowy frak na przyszłe w Gwiazdowie przenosiny.

— Ach! to wybornie się składa!—
dodała z radością stryjenka—pojedziesz
na miejscu pisarza, kupisz co ci potrze-
ba, i moję odwieziesz mi suknię: bo
właśnie miałam cię prosić, mężu, o
posłańca dla sprowadzenia już dawno
gotowój; a teraz przynajmniej będę spo-
kojna, że mi ją niepotartą odwieziesz.—

Ah! bo piękna stryjenka była pew-
na, że nadto może jak na synowca
przywiązany Adolf szanować będzie
jak relikwie jēj sukienkę.”

— Autorze! przesadzasz — prze-
rwał Major.

— Nie, nie — rzekła Podkomorzy-
na. Wiedziałam ja dobrze, że Pan A-
dolf, sypiąc mi dusery, jak karmelki,
zawsze dobry ich zapas dla swēj stry-
jenki chował. —

— Co też Pani mówi? Mogłemże...—

—Dość, Majorze! nie przerywajmy.
Dalej, Leonie! —

„jak relikwie jej sukienkę (kontynuował Leon).

— Ale co wam w głowie? Jak się Adolf zabierze, a bardziej jak wróci, na furmance prostej, która przywieźć koniecznie musi wielki kocień do mojej gorzelni? Pisarz prowentowy pomieści się jak będzie mógł; ale Adolf.... —

Tę zrobiwszy uwagę, wyszedł na chwilę Szambelan; Adolf zaś myślał, jakby wyglądał w kotle, gdyby go jacy znajomi, lub, co gorsza, znajome spotkały?

— Cóż? Adolfie! to ty nie pojedziesz? — odezwała się stryjenka do zamysłonego.

— Jakże jechać? Mniejsza o niewygodę, ale miarkuj stryjenka powrót ja-

ki? w kotle! (i rozśmieli się oboje).
Gdyby mnie kto spotkał.... —

— Wiész co? — rzekła po krótkim namyśle dowcipna stryjenka — oto tak: wybieraj się ztąd powoli, zamarudź aż pod wieczór; na dobrej trójce równo ze dniem staniesz na miejscu; przez cały dzień tam zabaw się; prześpij czas, który ci od sprawunków zbędzie; i znowu zmrokiem wyjechawszy z miasteczka, będziesz z nami razem pił herbatę w Stawiszewie, którą ci sama w nagrodę fatygi naleję. Zresztą jeżeli i porzucisz na miejscu to przekłete kotlisko, cóż tam wielkiego? Pogdéra trochę stryjasek, przeprosimy go, i koniec. — Do tych propozycji dodała najważniejszy argument, to jest: tak piękne, tak urocze spójrzenie, że mu Adolf sprzeciwić się nie zdołał... Spójrzenie to błędne... przymglone...

a jednakże długie i niebezpieczne... leżało jeszcze na zarumienioném lieu Adolfa, gdy wrócił nagle stryjaszek i... dostrzegł tego spójrzenia."

Tu Podkomorzyna zwróciła oczy na Majora... Czyż były takie, jak niegdyś stryjenki?... Były równie piękne, ale patrzyły weselej i szczerzej.

Dodała potem, uśmiechając się: — Autor zaczyna połączyć *życie powszednie, pospolite, z wewnętrzném*; sprawdza swoją teorię. —

Major pokręcał głową.

Leon czytał dalej:

„Pan Adolf, dwódziestoletni panicz, skończywszy szkoły”...

— A to, widzę, zaczyna się moja biografia — przerwał znowu Major — słucham. —

„Skończywszy szkoły i otarłszy się koło uniwersytetu”...

— Co to znaczy: otarłszy się koło uniwersytetu? — wrzasnął Major. — Autorze! niech cię milion!... Przepraszam Panią, ale poszarpię tę jego ramotę, jeżeli mię tak pod różnemi względami potwarzać będzie. Przecież lat dwa słuchałem Sniadeckiego, Stubilewicza, Jundzilla, i innych; a jeżeli przytém nie zaniedbywało się wesolych a przystojnych zabaw, teatru na przykład, wieczorów, kasyno, to dla odświeżenia spracowanego umysłu...—

— Długoby o tém mówić, jak się za czasów twoich przykładala młodzież do nauk; jak się potém, za sprawą jednego, w pilną się i przykładną przemieniła. Treść to kiedyś do poważniejszego dzieła. Nie przerywaj mi jednak. *Finis coronat opus*; to jest, Pani Dobrodziejko: koniec wieńczy dzieło; a zatém niech Pani nakaże mil-

czenie memu bratu do końca; potem zaś choćbyście i spalili ramotę całą, ani ja, ani potomność gniewać się nie będziemy. —

„otarlszy się koło uniwersytetu, (Major milczał już, ale się marszczył), Pan Adolf przybył do rodziców na parę miesięcy wolnych od nauk. A gdzież je lepiej i weselój mógł przepędzić, jak u bezdzielnego stryjaszka, który go lubił? jak u młodej stryjenki, którą on lubił? jak o mil parę od pięknej Zosi, w której się kochał od dzieciństwa”...

— Autorze! — przerwała teraz Podkomorzyna — bajki prawisz. —

— Owszem, prawda, i najprawdziwsza prawda! — zawołał z zapalem Major.

— No, już mniejsza o to — rzekła śpiesznie Podkomorzyna, uląkłszy się uniesienia Majora — słuchamy. —

„w której się kochał od dzieciństwa. Jakoż wnet ruszył do Stawiszewa; i przybywszy, odesłał konie do domu: stajnia bowiem stryjaska była na jego rozkazy: jezdny kasztanek dla wystąpienia do Zosi, stępak do polowania, i drażki do spaceru ze stryjenką.

Nie odmówiłby i teraz stryjaszek porządniejszego ekwipażu; a wróciwszy do pokoju, właśnie gdy miał mu to powiedzieć, trafił i uklół się, jak szydłem w worku ukrytém, owym wzrokiem żony zawisłym na Adolfie... a lubo ona wnet się postrzegając, zwiodła zeń uroczą żrzeniec, jednak obudziła się w nierównowiecznym małżonku małeńka podejrzliwość, którą nieuważnie znowu podrażniła żoneczka, mówiąc:

—No, mężu! Adolf zdeterminował się choćby już i na niewygodną podróż: bo to jest koniecznym moim interesem;

i tak byź musi — dodała jeszcze z tajemniczym uśmiechem, który wpadł także do serca męzowskiego i trącił ono niemile.

— Ha! jeżeli tak jest — odezwał się po krótkim zastanowieniu Szambelan — to i dobrze. Nie bawiąc nadejdzie furmanka. — I wyszedł z zachmurzonym czołem, wzajemny podobno naprzeciw projektom Adolfa i żony, których się domyślił, uknować spiszek; a które nie inne były, jak porzucić kociel na miejscu, a odwieźć niepotartą sukienkę stryjenki.

— Stryjaszek podobno się gniewa. —

— Bądź spokojny — odpowiedziała. — Poczciwa to dusza. Recha ciebie i mnie troche lubi, więc długo gniewać się nie będzie. Tymczasem choć do ogrodu — dodała, uderzając go figlarnie po ramieniu. — Uzbieramy ci

zapas na drogę; a prócz tego, ja sama pomyślę o twój wygodzie tam na miejscu. —

Jak wirtuoza podoba sobie niekiedy, probując biegłości swego talentu i na nieogranym instrumencie, tak młoda i ładna kobiątka lubi niekiedy probować mocy swych wdzięków na sercach młodzieńczych, nie mogących jeszcze rozróżnić pozoru od prawdy, i ulegających z równą szczerością i pozorowi i prawdzie. Stryjenka maléj téj igraszki dopuszczała się z sercem tkliwém synowca. Jéj maleńkie i jakby poniewolne względy pokrewieństwem spowodowane i okryte, jéj kapryski i pojednania, jéj rozkazy i podzięk, ludziły Adolfa, wtrącały się w jego uczucia, i zwiewały z serca jakby naglém zdmuchnięciem czysty płomień dla Zosi tam gorejący, tak dalece, że

omamiony nie wiedział on w takich chwilach, w której się z nich kochał.”

— Doznałeś sam bez wątpienia takich chwil, Leonie! — rzekła Podkomorzyna. — Ten mały rys twój zalotnictwa naszego, a słabości i wiary waszych głów i serc młodych, słabości, która im tyle częstokroć udręczenia przynosi, tak mi się zdaje prawdziwym, żeś go nieinaczéj jak z własnego doświadczenia napisał: bo inaczéj byłby to rozum nad lata.—

Leon się uśmiechnął.

— Rys ten jego — rzekł Major — może być i prawdziwym w ogólności, ale w zastosowaniu do mojej biednej, w kwiecie wieku zgasłej stryjenki nie jest takim. I doprawdy, Leonie, gniewać mnie zaczynają twoje uwagi, i ta *licencya* autorska, której nadużywasz. Zkąd wiadomość o moich wątpliwych

uczuciach? po co uszczypliwe wspomnienia osoby już dawno nieżyjącej? *De mortuis aut bene, aut nihil*, Pannie Autorze!—

— Ciagle mi przerywasz — odpowiedział Leon — i jeszcze wtrącasz zdania, którym z przekonania zaprzeczyć muszę. Nie wiem, kto pierwszy tę twoją *sentencję* powiedział; ale gdyby w nią tak wierzano i spełniano, jak powtarzają, historyi natenczas alboby zupełnie nie było, alboby tylko była nieprzerwanym panegirykiem tak złych, jako i dobrych czynów i ludzi. Mówić przykrą prawdę o żyjących rozmaite częstokroć bronią względy; ale o umarłych potrzeba mówić jak zasłużyli, właśnie dla nauki żyjących.—

— Ani twoja powieść jest historyą, ani moja stryjenka osobą historyczną— odpowiedział uśmiechając się Major.

— Dla tego też właśnie nie stosuj do niej zdań wysokich, któremi mię tylko z drogi sprowadzasz. Czemu nie możesz słuchać mojej powieści jakby zupełnie dla ciebie obcej?—

— A to mi wyborna perswazyja! Pi-sze o mnie, i chce mi wmówić, że to nie ja. Daruję to wszystko młodości twojej. Czytaj dalej.

„Już druga połowa pięknej sierp-niowej upływała nocy, gdy Adolf mi-jal zdaleka mieszkanie swej ulubionej Zosi, wlekąc się po błotnistej grobli trzema nędznymi podjezdkami. Nie-cierpliwił się dotąd swą powolną po-dróżą: bo widocznem było, że nie w no-cy, jak stryjenka projektowała, ale le-dwo około południa stanie w miastecz-ku. Przeklinał ekonoma, że mu tak słabych koni i nicobrótnego głuptasa

dostarczył na furmana; którego i lajał, i dawał półzłótki, i prosił, aby jakkolwiek pośpieszał. Ale gdy ujrzał dach, pod którym Zosia spoczywała, dozwolił wlec się najpowolnięj wychudłym szkapóm, a sam w romansowe uniosł się dumania.

Poezyo! serc czułych opiekunko! kochanków oratorko i utrapionych pociecho! tyś na promieniu rannęj jutrzeńki spłynęła na kałamaszkę Adolfa; tyś go natchnęła. Twoje on słowa go dząc z własném uczuciem, takie dla swęj lubęj układał *dzień-dobry*:

Spoczywaj, o Bóztwo drogie!
Niech myśl, jak motylek złoty,
W uśpionej igrając duszy,
Słodko serce twoje wzruszy
Obrazem rajskej pieszczoty!

A gdy pierwszy promień zorzy
W piękném oku twojem: błysnie,
Niech na pierwszą myśl się wciśnie

I pierwszy obraz utworzy
Wspomnienie!....

Albo raczj niech ot własnje,
Niechaj piorun w dom ten trzaśnie!....

Płomień w jasne wionął kłęby,
Oblał dachy i ścian zręby,
W dymie światłość dnia zgaszona.
Przebóg! gdzież ma ulubiona?....

Nie masz jej!... W płomie się rzucam,
Znajduję martwą; ocucam;
Przez płomienia jasne kłęby,
Przez oblane ogniem zręby,
Przez duszący pożar srogi,
Dla jej życia gardząc swoim,
Na mem sercu, na mem łonie
W bezpieczne niosę ustronie
I nad czystym składam zrodzom!!!
Jeszcze martwa — jeszcze blada...
Lecz pomału twarz dziewicy
Iskrę życia zapowiada,
Omdlałe cucha się zmysły...
Pierś obudza się westchnieniem...
Głos się tłumi różrzewnieniem...
I w zroszonej łzą żrzenicy
Wdzięczność... i... miłość zabłysły.”

— Dla BOGA! Majorze! — rzekła

śmiejąc się Podkomorzyna —jaki niebezpieczny dowód miłości dadź mi chciałeś! Życzyć mi nieszczęścia....—

Major uśmiechał się także, pokręcił palcem na czole, i wskazał na brata.

—Nieszczęścia?—odezwał się ten.—
O, nie! wcale nie! Ale życzył Adolf, a przynajmniej życzyć natenczas mógł sobie szczęścia stania się wybawicielem swęj ulubionęj. Jest to tak zwyczajna chęć młodych, tak ją sam często miewam, (jeżeli Pani chcesz szczerego wyznania), że i on ją mieć musiał. Przypuszczam więc to, co jeżeli nie było, to być powinno. Jest to symptomat prawdziwęj miłości, poświęcającęj ochotnie i bez namysłu życie dla pozyskania choćby jednego tylko spójrzenia kochanki; miłości rycerskieęj, Podkomorzyno! nie prawdaż?

a nawet nieurojonój: bo sprawiedliwie mówi Pani Staël w którymś ze swoich romansów, że w opisanu miłości pierwszój a prawdziwój przesadzić nawet nie podobna. Nie prawdaż, Adolfe, że twoja była taką?... —

— Ach! prawda! prawda!... — wykrzyknął on znowu.

— A więc odkręć palcem na czole. —

— Tak! — mówił z zapalem Major — poświęciłbym i wtenczas i teraz.... —

— Cóż dalej? cóż dalej? — przerwała znowu zakłopotana Podkomorzyna. — Ej bo ta twoja powiastka!.... Czytajże już przynajmniej. —

„Przybył więc Adolf do miasteczka. Wraz na początku stała wielka karczma, otwarta jak paszcz smoka, mająca polknąć każdego przybywającego. Konie, postrzegłszy ją zdaleka, ostatnich sił dobyły i rzeźwić po-

mknęły; gdy nagle we wrotach zjawił się żyd, i rozkrzyżowawszy ręce, krzy-
czał: — *Tu kamedye! tu kamedye! Nie
można! nie można!* — Ale trójka, u-
pragniona odpoczynku, leciała pędem;
żyd ledwo mógł umknąć z drogi; a
zdziwiony Adolf wjechał kalamazką na
parter”...

— Koniec rozdziału pierwszego —
rzekł Leon, składając rękopis.

Słuchacze zdawali się namyślać nad
recenzyą; ale Leon nie dał im czasu
do wymówienia, co myśleli: bo ledwo
Major rzekł — Panie Autorze! twoja
powieść ma coś niedojrzalego — gdy
Leon zaczął rozdział drugi.



VIII.

Trupa błędna.

„*S*erce, które prawdziwie swoje więzy czuje,
 Tyle zna miłość ważną, że z niej nie żartuje;
 Owszem, nią zaprzęgnięta, nią całe zajęta,
 Czcí ją tylko westchnieniem, jako bóstwo święte—

deklamowała na scenie, to jest, na
 rusztowaniu z tarcie na łokiec od ziemi
 podjętém, młoda i ładna kobiątka.

Posłyszawszy wiersze z komedyi
 Zabłockiego: *Fircyk w zalotach*, w któ-
 réj rolę Fircyka grywał pokilkakrotnie
 na amatorskim teatrze w Zaborzu, i

zgadując, że trafił na próbę, Adolf w dwóch susach prosto z kałamaszki był już obok niej, i z żywym uczuciem, tak, jak rola wymagała, odpowiedział:
*— Czy tak? Nic tańszego! Wyroki twe cenię;
 Kończę żarty, i czule zaczynam wielbienie.
 Masz mię Pani dla siebie odtąd hołdowniczym.
 Lecz gdy stracę wesołość, zostanę przy niczem.
 Ten tylko miałem w resztach majątek na zbycie.
 Żądasz więcej? mam jeszcze krew w żyłach, mam
 życie.*

*Lać ją będę do kropli, ważę się na wszystkie
 Razy śmierci, harmaty, spisy, korądy płytkie,
 Niech będę postrzelany, skłóty, zdratowany,
 Dość szczęśliwy, jeżeli od ciebie kochany....
 Na co żebym zasłużył, niechaj moję Panią
 Zniewoli to najżywsze rąk ucałowanie!....
 Niech mi wolno ssać słodycz z tej śliczniuchnej
 dłoni.—*

I stosownie, jak mówił, całował piękną rękę Podstoliniej (będę ją bowiem nazywał imieniem jej roli).

Umykając powolnie rękę, i wpatrując się w nowego aktora, a przystojnego

chłopca— Cóż to jest?... — rzekła ona z zadziwieniem.

Adolf znowu:

— *Urażam? Pani wstydem płonie?*

Cóż w tém złego? Uczciwie godzą się zaloty!—

— *Nie godzą się! Tak tylko postępują trzpioty!—*

rzekł, rozsuwając z gniewem Fir-
cyka z Podstoliną mężczyzna w sza-
raczkowym fraku, podżyły, porządnej
tuszy, niski, łysy, i w jednej ręce trzy-
mający perukę, a w drugiej exemplarz
probowanej sztuki.

— Przepraszam — odpowiedział A-
dolf — to nie Pan mówić powinienes,
ale piękna Podstolina. Pan może grasz
Arysta? —

— A tak, Arysta. —

— To Pan jesteś mężem Klaryssy;
a cóż do Pana należy Podstolina?—

— Tak na scenie; ale proszę wie-
dzieć, że indziej, i zawsze, i wszędzie,

jestem mężem téj Pani, która już piękne oczki do Pana robi, nie wiedząc, kto i co jesteś? A więc na pierwszą znajomość powiadam ci jako Aryst:

— *A wiesz ty, mospanie Fircyku, że ja wyprawiam takich gości na patyku. Do innych arwan-katu ni bronię, ni radzę, Ale od żony wara! bo przez kij przesadzę,*

Adolf na to:

— *No, no, nie byłbyś dzieckiem i bajów nie prawil.*

Zostaw nas tu na chwilę....—

Kilku aktorów i aktorek, stojących na scenie, zaczęło się śmiać ze swego zazdrośnego antreprenera.

— *Glupiś ze swoją zazdrością — ozwała się Podstolina do męża. — Przypadek zapewne, ale szczęśliwy, zsyla nam tu wybornego, jak widzę, aktora; a ty, cobys miał przyjąć go z otwartemi rękami, odrażasz wraz swoją niedorzecznością. Niech Pan nie uważa*

na tego ciemięgę. Zaczniemy nanowo próbę, a potem się bliżej poznamy. —

— Ależ wraz zapewne przybędzie Pan Anzgary. Wiadomo, że to jego rola. Trupa moja jest pełna. Nowy aktor, nowy koszt. —

— Jako pierwszy raz występujący na dzisiejszą reprezentację, żadnej nie żądam nagrody. Dość mi będzie szczęścia — dodał ciszej do Podstoliny — że z Panią grać będę. —

— A ja oświadczam tobie — rzekła ona stanowczym tonem do męża — że z tym Panem wraz po reprezentacyi umowę uczynić muszę: bo ja z twoim pijakiem Anzgarym odtąd żadnej roli grać nie będę, w której go ten Pan zastąpi. —

— Byle tylko mojój nie zastąpił — odrzekł z przekąsem Aryst. Lecz nie uważając nań Adolf, kontynuował pró-

bę od pierwszėj sceny, z niejakiemi jednak wariantami, stosownemi do okoliczności.

— *Żyjąc w wielkim świecie,
Wiem, jak czcic piękność, jak się podobać ko-
biecie. —*

I znowu ciszėj dodał: — O bodajby mi się to dziś powiodło!”

— Czy tak rzeczywiście było? — zapytała Podkomorzyna Majora, nie przerywając czytania.

Major się uśmiechnął. Podkomorzyna pogroziła nań wdzięcznie paluszkami.

Leon czytał:

„*Gdy Pani ztąd wyjedzie, ja za nią w też tropy,
Drugi wierny Ulisses dla swój Penelopy.
Z tą jedynie różnicą, że tamtego nawy,
Mnie mój wóz... nie!... los przy tobie nieść bę-
dzie laskawy. (*)*

(*) W oryginale: „Mnie mój Hektor Angielezyk unosił cisawy.”

*W drodze bawić cię będę. Szemrzące strumyki,
 Drzewa liściem szumiące, kwilące słowiki,
 Będą to wielbić cię natury odgłosy!
 Komuż, jeśli nie tobie, ukłonią się kłosy?
 Komu kwiaty i ziółka lubiej natchną woni?
 Komu zefir chłód sprawi? powieje fawoni?
 Dla kogo wierne echa zejdą na doliny?
 Odgadnę ja ich celu — hold to Podstoliny!...
 Mając humor tak słodki, grzeczny, żartobliwy,
 Żebym cię nudził, byłbym bardzo nieszczęśliwy! —*

— Trzpiot jakiś! — przerwał zniecierpliwiony antreprenier.

— Dla czego Pan zawsze zastępujesz śliczną Podstolinę? To nie Aryszt mówi — rzekł, udając również zniecierpliwionego Adolf.

— A tak — rzekła ona — ja powinienam odpowiedzieć. — I odpowiedziała z przymileniem:

— Co za balamut z niego! co za trzpiot! lecz luby.... —

— Niechże was zresztą i kaci porwą! — wrzasnął Aryszt, ciskając o zie-

mię perukę i sexternik. — Przynajmniej-
 że powiedz: kto jesteś? i zkad przyby-
 wasz? *Unde venis? quo tendis?* —

— Jestem uczniem Szkoły Dramma-
 tycznój Warszawskiej. Odwiedzałem
 familię moję w tych stronach; i dowie-
 dziawszy się, że sławna trupa artystów
 mojej professyi przybyła do tego mia-
 steczka, stawię się tu, ofiarując mój
 słaby talent na usługi. —

— A to co innego! to co innego! —
 Wnet stanął w kroku Pan Antreprenier,
 i ukloniwszy się manierą kawalerów
 dworu Ludwika XIV — Honor mnie
 tedy — rzekł — równie jak i artystów,
 którym przewodniczę, spotyka, gdy
 w gronie naszym.... —

— Porzuć — przerwała żona — po-
 rzuć te androny. Wiész, kto jest ten
 Pan, to i dosyć. Ponieważ będziemy
 razem, to i poznamy się. —

— Nie przeszkadzaj Wasani—rzekł orator, wstrząsając głową i zamrużyw-
szy male swe oczki, głęboko pod kuli-
stém czołem wklęsle — nie przeska-
dzaj Wasani uroczystemu powitaniu
dostojnego gościa, którego akceptu-
jąc.... akceptując którego.... (znowu
zamrużył oczy i wstrząsł głową. Wi-
dać, była to ulubiona akcyja jego przy
teatralnych perorach), mam honor wza-
jemnie rekomendować się. Jestem Eu-
zebiusz *Kwetko*—*notabene* i z głową i
z kredką—Antreprenier....

— w kłopotach (*) — dokończyła
Podstolina. — A ja, mówiła dalej, dy-
gając z miłym uśmieszkiem — jestem
Emilia... Emilia *Pięknicka*: bo nie chcę
bydź Panią Kwetkową. Sliczne mi na-
zwisko! —

(*) Jest komedyo-opera pod tytułem: *Antre-
prenier w kłopotach*.

— Nazwisko Pani doskonale odpowiada osobie — rzekł Adolf.

— Tak, jak *Kwetko* doskonale odpowiada téj figurze xiężycowego obliza i żółwiego kształtu. Więc mimo fatalnego małżeństwa, zostaliśmy każdy przy swoim. —

Moja Pani! — perorował Pan *Kwetko* — pracuję, aby nazwisko to (wstrząsł głową, i z zamrużonemi oczami a ze wspaniałym gestem wykrzyknął): w potomności słyńło!... —

Śmieszna postać jego stokroć śmieszniejszą była w takiem uniesieniu.

— Dalsza prezentacya! — wołał on, nie zmieniając głosu ni postawy. — Zbliżajcie się po jednemu. —

A gdy wszyscy śmieli się i stali na miejscu, porwał pierwszego bliższego za rękę i ciągnął przed Adolfa.

— To jest Kaim! prezentuję. A to

Axur, Król Ormus. Bas, tenor, kontralt, wszystko w jedném gardle! To, chwytając z rzędu, nasza *Prima-dona*—nie! nie! *Secunda-dona*: bo moja żona, to *Prima-dona* — to, chciałem powiedzieć, *Aspazyja*.—A gdy ta, wyrwawszy rękę, uciekała za kulisę, wrzasnęła: *Aspazyo! gdzie się kryjesz?...—*

—Słuchaj ty *Buffo Carricato!* — przerwała mu żona— czy ty chcesz grać komedję bez publiczności?—

Niechże przynajmniej afisze—mówił, nie spuszczając z tonu, antreprenier — niech afisze ogłoszą publiczności nową, świetną akkizycję naszą, że uczeń Szkoły Drammatycznej Warszawskiej wystąpi dziś po raz pierwszy w roli *Fireyka w zalotach*, sławnej komedji (zamrużył oczy i trząsł głową) nieśmiertelnego Franciszka Zabłockiego! Gdzież sufler? Niech pisze! Gdzież podział się sufler? —

—A ja tu, krótko mówiąc, ja tu—
odezwał się głos chropowaty i nosowy
z budy, ale nie suflerskiej, lecz z bu-
dy kupieckiej, wielkiej, długiej i szé-
rokiej, stojącej na parterze obok ka-
łamaszki Adolfa i całej nakrytój plót-
nem malowaném w fale.

—Morze, krótko mówiąc, prze-
ciekło w drodze — krzyczał sufler —
Tezeusz zmokł do nitki, *Sultan Wam-
pun* pękl, *Tankred* rozkleił się, a *Xy-
menę* i *Alzyrę*, krótko mówiąc, prze-
suszać trzeba; z ogniów zaś bengal-
skich i błyskawic, kasza.—

—Gwaltu! ja nieszczęśliwy!— za-
wołał Kwetko — zgubiony jestem! Dziś
imieniny Pana Horodniczego, wspa-
niałego protektora naszego w tém mie-
ście. Po reprezentacyi miałem cyfrę je-
go w transparancie oświecić ogniem
bengalskim, dotąd tu niewidzianym; a

teraz cóż ja peczę! Znizkąd nie mam pomocy! Dawno mówiłem, i sami jadąc widzieliście, że morze dziurawe. —

— Do nas należy pływać po niém — odpowiedział Kaim — a do Pana, latać je. —

— Koncept z pierza! Chodźcie waspanowie wolój ratować garderobę! —

Przerwał ratunek garderoby i dalszą próbę posłaniec od Pana Horodniczego z oznajmieniem, że za pół godziny czeka on z obiadem, na który wczora jeszcze całą trupe zaprosił.

— Będziemy służyć — odpowiedział Pan Euzebiusz — i proszę powiedzieć szanownemu protektorowi naszemu, że zaprezentujemy mu nowego kollegę, przybyłego do nas prosto z Warszawy. —

Odszedł posłaniec.

— Daruje Pan — rzekł Adolf — że

nie będę towarzyszył do Pana Horodniczego. Jechałem całą noc, potrzebuję więc, zwłaszcza przed reprezentacją, wypoczynku. —

— Co tam! Wyśpisz się jutro — odpowiedział antreprenier. Dobry obiad, bratku, to nie bagatela w naszej kondycyi. A będzie wyśmienity: bo to imieniny, i gości jest wiele. A że dzisiejsza reprezentacja na benefis mojej żony, więc po obiedzie Pan Horodniczy z benefisantką biletami traktować będą. Idź, kollego, idź, proszę cię! — i uściskał kordyalnie Adolfa.

— Ponieważ to benefis Pani, tém usilniej przygotować się muszę; odczytam rolę: bo na próbę, jak uważam, nie będzie czasu; a zatem na obiad nie pójdę, mój zacny Panie Euzebiuszu! —

— I w rzeczy samej — rzekła Pod-

stolina — bez próby będzie trudno. Mnie także odechciało się tego obiadu. Idź ty sam, mężu, i wyexkuzuj nas. —

— A, co z tego, to nie nie będzie. Oto pięknie! wczoraj przyrzekłaś, a dziś inaczej. Zresztą kiedy dziś beneficis nie uda się, co jutro jeść będziemy? a bez kwesty obiadowej pewnie się nie uda. —

Spójrzała wzrokiem niełitościwym na męża piękna Podstolina, niekontenta zapewne z objawienia takiego niedostatku przed obcym.

— Prawisz jak na mękach. Nakoniec ponieważ przyrzekliśmy, więc pójdziemy. Trzeba się zatém ubrać. Do widzenia się. Jakże mam Pana nazywać? — zapytała Adolfa.

Usłyszawszy to imię, powtórzyła je kilka razy i odbiegła za kulisę. Za

nią kilka jeszcze aktorek, którym przypatrzeć się Adolf nie miał czasu.

— A suflera, krótko mówiąc, czy prosił Pan Horodniczy? — wrzasnęła ruda głowa, z morza wytknięta.

— Nie — odpowiedział antreprenier.

— A cóż ja tu będę jeść? krótko mówiąc. —

— Masz tu w karczmie śledzie i obwarzanki. —

— Piękny przysmak! krótko mówiąc. —

— Rozwieś Wasan tymczasem garderobę, i na miłość Boga przesusz ognie bengalskie, których koniecznie dziś użyć potrzeba. —

— Oj! oj! wszystko na mojej głowie, krótko mówiąc. —

Gdy się wszyscy postroili, ładniejszej jeszcze w świeżej toalecie Podstolinie Adolf podał rękę. Pan Euzebiusz,

zakrywwszy peruką łysinę, we fraku czarnym, opierając się trzcina z złoconą galką, jakby godłem swego dostojęństwa, szedł poważnym krokiem na czele kalwakaty z dziesiątka osób obojęj pleci złożonej przez miasteczko.

— Z tą właśnie trzcina w ręku grywam niektóre poważne role, i dziś Arysta grać będę. To trzcina historyczna, mój Panie! — mówił on, odwracając się do Adolfa, i szedł dalej.

— Czy Pani ubrana już jak na scenę? Jakżeś ładna! — rzekł z ciecha Adolf do swojej motii.

— O, nie! wcale nie! Najprzód znikłaby illuzya, gdyby Podstolina była tą samą zupełnie figurą, która obiad z widzami jadła; a powtóre, dla Pana chcę się ubrać tak, abyś się na prawdę we mnie zakochał — rzekła, uśmiecha-

jąc się ponętnie.— Czulój grać będziesz role kochanków.—

— Na to już mię Pani dostatecznie usposobiłaś.”

— Autorze! — przerwał Major — kto sam taki, ten po drugim daje znaki. —

Nie zważając na to ofuknięcie się brata, pokryte uśmiechem Podkomorznój, Leon czytał dalej:

„Pan Euzebiusz, oglądając się po kilkakrotnie, niespodzianie i niespokojnie, przerywał tę maroderyę roman-sową. Nakoniec doszli do bramy Pana Horodniczego, u której Adolf pożegnał swą piękną towarzyszkę i powrócił do teatru.”



IX.

Nowy Aktor.

„**G**dy wchodził Adolf do karczmy, postrzegł jeszcze jedną kałamaszkę na parterze, a suflera rozwieszającego po żłobach przemokłą garderobę, i rozmawiającego z niejakimś sampanem, wyciekłym a chudym, w krótkim po kolana, granatowym niegdyś, wązko go opinającym surduciku, i w cyratowym kaszkiecie na głowie; a ponieważ sam nie-

postrzeżony Adolf z profilu nań patrzył, ujrzał więc na twarzy jego nos niepospolitego kalibru i znaczenia; tylko że zdrajca ten zastosował się kolorem do surduta, a tak rodził zwyczajne w takim razie podejrzenie, i tłumil wrażenia lawaterskich postrzeżeń, któreby bez téj jego barwy chlubnie na stronę właściciela tak znakomitego nosa uprzedzały.

— Jak to? — mówił ten jegomość, kontynuując zaczęta przed przyjściem Adolfa rozmowę — uczeń Szkoły Dramatycznój Warszawskiój? a czy go tu djabli przynieśli? —

Adolf, słysząc, że o niego rzecz się toczy, przychylił się za drzwi.

— A tak — odpowiedział sufler — i krótko mówiąc, Panie Anzgary, oświadczyła ona, że żadnój roli grać

nie będzie z Wasanem, w którejby Wasana ten fryc mógł zastąpić.—

—Tak! bo widać będzie on miał inne jeszcze role.... Ale niechaj sobie! Publiczność nas rozsądzi.... Jednakże wiesz co? Mosanie Samuelu! żyjemy jak bracia od tylu lat. Ten golec, wiercipięta, może mnie zasłużonego sługę Melpomeny skonfundować i złuzować. Niemilo na starość z pierwszego aktora zostać figurantem. O, znam ja Warszawczuków! Trzeba go więc na pierwszym wstępie podstrzelić. Dopomóż przyjacielowi, jak to już nieraz ci się udało: daj baka w sufłowaniu razy ze trzy w pierwszym akcie. Zmięsza się panicz, i zmięsza scenę, rozśmieszy publiczność. Krzykną, że nie umie roli, i musi potem z nami spuścić z tonu. —

— A pięknież to na kolegę robić

takie spiski i zasadzki! — odezwał się Adolf, wychodząc z za drzwi.

— Oho! masz tobie!.... i on tu!... — jękał zakłopotany Pan Anzgary. — No... *mea culpa!* Cóż robić? Bo też i Pan przybywasz nieproszony i nastajesz na moje stare zasługi. —

— Bądź spokojny, Panie Anzgary! — rzekł, podając mu rękę, Adolf — pogodzimy się łatwo. A tymczasem, dla lepszego zaznajomienia się, proszę obu Ichmościów z sobą do izby. Zjemy podróżne śniadanie, podczas gdy nasza trupa u Pana Horodniczego się częstuje. —

— Krótko mówiąc, zgoda. —

— Gdy Pan tak wspaniale zapominając urazy, ofiarujesz jeszcze posiłek, którego łaknie dusza, a raczej ciało moje, to i owszem. Zmachalem dziś więcej pieszo, niż jazdą — mil ze trzy.

Licho mi dało wczora na popasie zasnąć tak twardo, że obudziłem się aż w wieczór....—

—Podaj wódki, jaką masz najlepszą! — zawołał Adolf na usługowego żydka, który się kręcił wszędzie i zaglądał we wszystkie kąty.

— Ale flaszę pełną—dodał Pan Anzgary — i kieliszek nieskąpy. Tanićj Panu przyjdzie, gdy cały sztof weźmiesz. Na kieliszki, to drożój, i mniejsze dają. *Experto crede*, Panie Dobrodzieju! —

— Niech i tak będzie — rzekł Adolf; a poznał, że zdrajca nos Pana Anzgariego niezawodne dawał *testimonium*.

— *Dubelt - cynamonówka!* — wykrzyknął on, biorąc flaszę z rąk żyda— a właśnie mam szczególniejszą słabość do *cynamonówki!* Trafiłeś więc w słabość

bość moję, perlo synów Izraela! Zaczynajże Pan w Imie Boże!—

— Nie pijam nigdy wódki — odpowiedział Adolf — robię Pana gospodarzem.—

— A więc za zdrowie fundatora! do Wasana, Panie...—

Przerwał toast wchodzący młody człowiek, którego wprowadzając żydek — oto ten Pan — rzekł, wskazując na Adolfa.

— Jak to? Pan Adolf! — zawołał ten, stawając zdziwiony na śródku izby.

— Ach! to ty! mój Jasiu! — wykrzyknął wzajemnie Adolf. — Cóż cię tak dziwi?—

Pan Jan, był to Sekretarz Horodniczego, a syn zasłużonego ekonoma u rodziców Adolfa. Nagradzając pocziwość slugi, oddali oni syna jego,

wraz z własnym, to jest, z Adolfem, do szkół; i gdy po ukończeniu nauk szkolnych Adolf pojechał do Wilna na Akademię, Jaś poszedł szukać losu na świecie, i przyjął *ad interim* pierwsze, jakie się nadarzyło, miejsce, ufając w Boga, że praca i cierpliwość doprowadzą go do zgodniejszego placu i do kawalka chleba.

— A cóż tak stoisz jakbyś skamieniał? — rzekł Adolf. — Chodź, uściśnijmy się po tak długim niewidzeniu się. —

Młody człowiek rzucił się w ręce Adolfa, z przystojnym jednakże uszanowaniem: od dzieciństwa bowiem i w szkołach nawykł go uważać jako swego panicza i jako syna swych dobroczyńców. Lat dwa rozdziału nie wymazało w sercu jego pocziwem uczuć

dziecinnych, i dla tego łąą odpowiedział na uściski Adolfa.

Po tém czulém przywitaniu — Cóż to ma znaczyć? — zapytał Sekretarz. — Panu Horodniczemu powiedział antreprener, że tu przybył nowy i młody aktor ze Szkoły Drammatycznój Warszawskiěj, który na obiad doń razem z całą trupą iść nie chciał; a lubo żona exkuzowała go, że zmęczony podróżą i potrzebuje odpoczynku, jednak tém bardziěj Pan Horodniczy ciekawy i uparty posłał mię, abym tego przybysza zapytał o paszport; i jeżeli ony ma, zaprosił go na obiad; jeżeli nie ma, zaprosił go do kozy.—

— Powiedzże, mój Jasiu, grzecznemu Panu Horodniczemu, że ani tam, ani tam nie pójdę. —

— Dobrze. Ale jakże się stało, że

Pan uchodzis za aktora przybyłego z Warszawy? —

Adolf opowiedział, śmiejąc się, Panu Janowi historję swego przybycia do karczmy, i niewinnego podstępu, przez który uszedł za ucznia Szkoły Drammatycznėj Warszawskiėj, gdy rzeczywiście był tylko uczniem amatorskiėj Zaborskiėj trupy.

— A więc Wasan — rzekł Sekretarz, obracając się do Pana Anzgarego — może zastąpisz Pana Adolfa na obiedzie u Pana Horodniczego? —

— Co nie, to nie. Wolę tu zostać z zacnym amatorem i protektorem, jak uważam, Drammaturgii, i przy téj cynamonówce; z którą gdy rozprawa do mnie należy, przeto w ręce Pana Sekretarza Dobrodzieja! —

— Dziękuję. Nie pijam. —

— Sekretarz Horodniczego wódki

nie pija! — ozwał się, wzruszając ramiona, Pan Samuel. — Krótko mówiąc, fenomen! —

— Żegnam więc Pana — rzekł Pan Jan do Adolfa. — Czekają mnie. Po obiedzie wraz wyjechać muszę do Mińska w interesie Pana Horodniczego. Niech Bóg stokrotnie odda Panu dobrodziejstwa, jakie od rodziców Pańskich odebrałem. —

Czule uściski zakończyły pożegnanie młodzieńców.

Adolf rozkazał żydowi podadź kromkę przez stryjenkę w pieczyście, piérogi, i inne podrózne łakocie sowito uprowidowaną.

Pan Samuel, postrzegłszy wszystko na stole, i jakby na zakąskę pierniki ze smażonemi gruszkami poże-

nione—Specyały! krótko mówiąc, specyały!—zawołał.

—Przystąpmyż do nich — rzekł, dając przykład Adolf.

—Wprzód jednak, za pozwoleniem Pańskim, lyknem jeszcze z Panem Samuelem.—

Wśród smakowitego posilku bliższa zawiązywała się komitywa. Pan Anzgary coraz był weselszym i wymowniejszym; coraz to nowe anekdoty teatralne pływały mu jak z rejestru.

—Co tam prawisz ciągle o innych?— rzekł zapalając fajkę Adolf, gdy żydek zbierał nakrycie. — Mów o sobie: kiedy naprzykład, i jaką koleja, zacząłś służyć *Melpomenie*?—

—Ach! Panie! długoby o tém mówić.... Judaszu Iskaryoto! co chcesz czynić? — nagle wykrzyknął, wyrywa-

jąc flaszę z rąk żyda, który, rozumiejąc wódkę niepotrzebną po obiedzie, chciał ją przyjąć.

Najpiérwszy warunek, Panie Dobrodzieju — mówił Pan Anzgary — aby ta cynamonówka ze stołu nie ustępowała. *Si plus bibissem, melius dixissem* — powiedział tam jakiś orator. Otoż i ja upewniam mego Pana, że i po tym oto hańście, który za zdrowie Pańskie *iterum* spełniam.... Gdzież pierniczki? Zakąsić zawsze należy... Ach! to ty, Samuelu, ty, żarłoku, pozbawiłeś mnie słodczy, którąm umyślnie na rozkosze dla podniebienia mego zostawił.... Samuelu! bodajbyś się piernikiem udawil! —

Apostrofę tę i następne, jakie się wymykały Panu Anzgaremu, deklamowane przezeń patetycznie, jakby na

scenie, dowodziły nałogu w nim aktorskiego, a rozśmieszały Adolfa.

— Otoż i po tym hańbie jeszcze wymowniej—kontynuował Pan Auzgary—dzieje mojego błędnego żywota opowiem Panu. A jeżeli zaschnie w gardle, to wypadnie uczynić toż samo.... co i teraz czynię....

—Ale nim w gardle, tymczasem zaschnie we flaszy.—

—No, Panie Dobrodzieju, ledwo w połowie jeszcze, a zatém pociągnie, pociągnie.—

—Trzeba, abyś Pan wiedział, żem sługa, a raczej polubieniec dwóch bóstw razem: *Melpomeny* i *Apollina*.—

—Bodaj i trzeciego: *Bachusa* — przerwał Adolf.

—Krótko mówiąc — dodał Pan Samuel — pijak! —

—Samuelu! Samuelu! — najpatetycz-

niej wznosząc ręce w górę, zawołał Anzgary — Samuelu! gubisz mię na reputacyi!....—

— I że, gdy pociągnę weny z butelki, (bo bez tego i trzech przeliczyć nie umiém; co właśnie i teraz czynię), wzlatuję na Parnas. Mam już zaczętych z piętnaście tragedyj, z tyleż drammatów, a komedyj bez liku; tylko że dokończyć jakoś nie dają się. Ale z czasem, i gdybym znalazł jakiego mecenasa dobrodzieja, któryby mi chleba powszedni bez pracy, i tej kochaneczki (pstrykając po flaszy), w miarę wszakże, udzielał, możebym, jak drugi Feliński, w którego Barbarze ja, jak mię Pan widzisz, ja, grałem *Augusta* w Lidzie, a *Bonę* w Wilkomierzu....—

— Ależ do rzeczy, Mości Polubieńcze *Feba* i *Melpomeny*! do rzeczy— ozwalał się Adolf.

— A prawda, do rzeczy. Masz Pan Dobrodziój rację. A ponieważ rzecz sama i essencya jest tu, więc raz jeszcze stuknąć na zaczęcie nie zawadzi. No, teraz dobrze! O czémże to mam mówić? Aha! mam tedy zacząć moję historyę. Krótka, Panie Dobrodzieju, krótka, ale węzłowata. Wszelakoż aby godną była dostojnego słuchacza, wezwijmy natchnienia moich bóstw opiekuńczych.—

Stanął w kroku Pan Anzgary, wznosił znowu oczy i ręce w górę, i z zapalem zawolał:

O Febie! któryś w niebie! i ty Melpomeno!
(*Brawo! owoż zacząłem oratorską weną*).

— Ten ostatni wiersz coś mi przypomina... zaraz... zaraz... —

— Ukradłeś go—rzekł Adolf—z *Amfitryona*, z roli *Sozyi* (*).

(*) Komedia Zabłockiego.

—A prawda! prawda! Jak Pan wszystko pamięta! To mi amator!—

Tu wpadając w entuzjazm, porwał flaszkę ze stołu, i stawiając ją na podłodze, jak *Sozyo* latarkę, deklamował:

*To pokój, gdzie mam wpadać gońcem,
Ta flaszką niech będzie Alkmeną.
Pani! twój Amfitryo przysłał mię tym końcem,
(Brawo! owoż zacząłem oratorską weną),
Tym końcem przysłał mię tu, abym ci wesół
Zwiastował tryumf jego nad nieprzyjaciół! i t. d.*

Zapomniawszy się Pan Anzgary zupełnie, przedeklamował cały monolog *Sozyi*; a że zabawną z siebie rolę oddawał z prawdziwym talentem, nie tylko mu więc zdziwiony Adolf nie przeszkadzał, lecz owszem, umiejac na pamięć całą tę sztukę, służył za suflera, gdy pamięć aktorowi chybiała; a gdy ukończył, dał mu huczne oklaski.

W omamieniu Pan Anzgary kłaniał

się ukladnie na wszystkie stony, jakby całemu parterowi, i z ukontentowaniem nakoniec wykrzyknął:— A co? Panie Dobrodzieju! czy źle? —

— Wybornie! —

— Nie chwalim się, ale nie powstydzilibyśmy się i w jakiejś stolicy. Kochany Zablocki! niezrównany! jedyny Zablocki! Nie okradłem ja go wszelakoż, jak to Pan powiedziałeś, nie! Sam mi ten wiersz drugi wpadł na pochwałę pierwszego; a cokolwiek samo w naszą przechodzi własność, złodziejstwem nie jest. Maxyma to, Panie Dobrodzieju, za którą idą nie tylko autorzy i aktory, ale i ważniejsi praktykanci na scenie świata.—

— Panu Anzgaremu nie zbywa, widzę, na dowcipie. —

— Nie chwalim się, Panie Dobrodzieju, nie chwalim się, ale możebym

i na co lepszego zdał się, niż na towarzysza cygańskiej naszej włoczęgi. Cóż jednak robić? *Sic fata tulerunt!* Dla czegoż wreszcie mam poniżać sam siebie, i stan, który dobrowolnie obrałem? Czyż i w nim nie można być sławnym i wielbionym? Czyż nie słyń Garryki? Talmy? a u nas czyż zapomną kiedy Bogusławskiego? Werrowskiego? Żółkowskiego? Skibińskiego? i innych? A nakoniec nim sobie na wielkie imię zapracuję, tymczasem dobrze mi w moim zawodzie. Bez troski, choć często bez chleba. Dziś tu, jutro tam. Zrana prosty Pan Anzgary, wieczorem Król, Hrabia, wódz, czuły kochanek... a nawet częstokroć i w istocie bywam tym ostatnim, kiedy jaką piękną zawierujemy aktoreczkę; nie na długo wszakże, nie na długo: bo stałość nie liczy się do moich przymiotów. Słowem, do

stanu mego przywiązany szczerze, Nadzieję biedę słodzę....

Tu zatrzymał się w opowiadaniu, jakby szukał czegoś w pamięci.... razem potem zaśpiewał:

*I ja porosnę w pierze,
Choć dziś bez bólów chodzę!*

Znowu mię o złodziejstwo oskarżysz. A wiesz Pan co? oto, przychodzi mi często projekt ułożyć jaką sztukę z wybieranych wierszy z rozmaitych sztuk i splecionych razem. Tak na przykład: w ogromnym salonie, rozłożywszy, ileby tylko nazbierać można, tragedyj, komedyj, oper, drammatów, czułych poczyj, złych czy dobrych, byle wierszem, jak się dobierają i układają rozmaitego koloru kamienie do mozaiki; tak wybierać po jednym wierszu, i spajać w jeden ciąg, zapelniając osnowę sztuki. Byłoby to wcale nowe pot-

pourri, i nigdy upaśćby nie mogło: bo najprzód wybierałoby się co najlepszego; a gdyby nareszcie jaki wierszyk i ze *Złotój Wolności* (*) chwycić przyszło, to tuż obok zastosowany drugi z *Barbary, Ludgardy*, albo też innój podobnej, naprawiłby wszystko; i widz, nimby syknął *Kiszcze*, musiałby klasnąć *Felińskiemu*. Cóż Pan na to? Samuelu! Samuelu!—zawołał dalej, nie czekając odpowiedzi Adolfa—ty śpisz! (bo w rzeczy samej sufler siedzący na kanapie spał w najlepsze) ty nic nie czujesz! ty nie przyjmiesz z rąk przyjaciela tego nektaru niebieskiego, tej ambrozyi, którą spiekle me usta ożywić pragnę! Spoczywajże! spoczywaj! niech ci bogowie najrozkoszniejsze suflują marzenia!

(*) Rozbior tej tragedyi w Brukowych Wiadomościach znaleźć można.

a ja sam jeden za ciebie i za siebie... szarpnę z *Alkmeny*. — I szarpnął bez kieliszka, tak, że już we flaszy mało się zostało.... Stał potém niejaki czas w milczeniu.

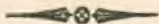
— Panie Dobrodzieju! — rzekł potém niepewnym już językiem — odłożmy na jutro akt drugi komedyi mojego żywota. Teraz trudno mi zaprawdę... trudno... Samuelu — wykrzyknął znowu—

Samuelu! używaj Morfeja opieki.

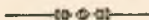
Z tobą piłem.... przy tobie niech zawrę powiek!...—

Jakoż usiadł obok Pana Samuela i drzemiącym językiem ledwo wymówił: — *Kortyna zapada...—*

Adolf rozśmiał się, i poszedł ułatwić swoje interesa u krawca, a stryjenki u szwaczki.



X.

Przed Reprezentacją.

GDY wrócił Adolf, znalazł już całe gro-
no dramatyczne z powrotem od Ho-
rodniczego.

Pan Antreprenier był właśnie na dra-
binie, i przybijał na balce ramy na-
ciągnięte białym papierem, na którym
wielka cyfra, z siniego cukrowego pa-
pieru naszyta, jaśnieć miała w przezro-
czu na cześć solenizanta.

— A! otoż i nasz artysta i uczeń

Szkoły Drammatycznój Warszawskiej.
Witam Pana Dobrodzieja! — zawołał
on. — Oho! poznałem ja wnet lisa! A
czy będzie Pan dziś występował? he!
he! —

— Dla czegoż nie? tém bardziej, że
Pański nominowany *Fireyk*, Pan An-
zgary, nie wiem, czy się ocknie do ju-
tra? —

— Pan go spoileś, i suflera razem.
Piękny figiel! ale koszt daremny! Już
my znamy naszego Anzgarego. Pijany
nawet grałby wyśmienicie; a tu jeszcze
do reprezentacyi kilka godzin. Suflera
zastąpimy łatwo. A tak pójdzie wszyst-
ko jak z płatka. Pan zaś kupuj bilet
bez ceremonii: bo gratysówek dla ni-
kogo, tém bardziej dla Pana, nie ma.
Ostrzegam także prześwietną publicz-
ność, że za kulissy się nie wchodzi....
Rozumiész mię Pan?... Panie Felixie!

podaj mi jeszcze dwa ćwieki, i windujcie rusztowanie dla Marsa i dla Minerwy: bo widzi Pan, tak ułożyłem *tablo*: *Mars* i *Minerwa* trzymać będą cyfrę Pana Horodniczego, jakoby to alluzya do jego męztwa i do jego *sapiencyi*; a gieniusz sławy w górze trochę *a latere*, to jest, z boku, z trąbą, ogłasza niby to światu te jego przymioty. Piętnaście biletów dziś rozdał na obiedzie. A jakiż obiad! Na trzy dni jestem syt.... Sam dwa dukaty, dając przykład gościom, benefisante na talerzu położył. To mi człek! mospa nie! Nie żał dlań głowy nad *siurpryzę* połamać!.... Czegoż stoisz? mazgaju! — rzekł dalej do żyda, kontynuując swoje mieszaninę rozkazów i uwag. — Przy noś i zawieszaj na balkach w stodole swoje świeczniki; po dwadzieścia świeczek w każdy. Jakie oświecenie!....

Zyrandole, mospanie, żyrandole!... A Pan każ swojój kałaszcze ustąpić z parteru: bo wraz zedle dla publiczności wnosić będą. Moja buda, to co innego. Onaby i za lożę służyć mogła.—

— W takim razie — przerwał Adolf — żłoby w Pańskim teatrze ujść mogą za paradis.—

— I zgadleś Pan: bo uliczniki miasteczкови, płacąc po pięciórce od nosa, stać będą we żłobach, a zatém osły zajmą właściwe sobie miejsce. A Pan dokąd? — zapytał nakoniec odcho-
dzącego Adolfa.

— *Pozwolisz, że się twojej pozalecam żonie* — odpowiedział ten słowami Fircyka.

— Oho! jest tam załoga: Pan Horodniczy. Rozprawcie się zatém. On dukatami za bilety sypie. Obaczymy,

kto z Panów wspanialszy. To szlachetna emulacya. —

— He! he! he! zaintrygowałem sztukę! — mruczał za odchodzącym. — Rywale klóć się, romans przerwany, heroina w kłopocie. Rozwiązanie: koniec konkurów i dukaty w kieszeni. —

Wszedł Adolf do izby, w której zostawił był i znalazł znowu śpiących aktora i suflera. Dwa jeszcze były pokoje, a w nich cała trupa odpoczywała i bawiła się wesoło po obiedzie Pana Horodniczego, który siedział przy Emilii, to głośno, to na ucho, słodkie jęć prawiąc zalecanki.

Skoczyła ona z kanapy naprzeciw Adolfa, i śmiejąc się — A witamy — rzekła — zanego ucznia Szkoły Drammatycznój Warszawskiej! Pięknież to tak

mię oszukiwać?—dodała, grożąc figlarnie.

Na te ponętne fochy Adolf znowu uciekł się do Zabłockiego i odpowiedział słowami Fircyka:

— *Jak Parys dla Wenerę porzucił niebianki,
Tak ja wszystkie dla ciebie rzucam Warszawianki.*—

— Dobrze to i dowcipnie; ale powiedz mi Pan tylko szczerze—mówiła, patrząc niespokojnie w oczy Adolfowi—gdyby ten pijak nie przywędrował, co byś Pan zrobił?—

— Gralbym z Panią Fircyka—odpowiedział tonem i twarzą niedopuszczającą żadnego powątpiewania.

— Na honor?—

— Na honor.—

— A wszakżeby Pana poznano.—

— I cóż ztad? Lubię teatr, szacuję talenta; a jeżeliby głupcy wzięli mi to

za złe, toć o ich zdanie nie dbam, gdy we własném mém przekonaniu znajduję pewność, żem nie uwłaczającego sobie nie uczynił, a ujął kłopotu pocziwym ludzióm... —

—I zjednał ich wdzięczność i prawdziwe uwielbienie — dokończyła Emilia, ściskając z rozrzewnieniem rękę Adolfa. — Wierz mi Pan — dodała obracając się do Horodniczego — kto z pozoru ludzi nie sądzi, ten sam jest pewnie zacnym człowiekiem. Pan się zaś dziś dwa razy okrutnie omyliłeś: wziąłeś tego Pana za włóczęgę i chciałeś go do kozy zaprosić, a mnie.... —

—Mam nadzieję.... — przerwał Horodniczy.

— Może Pan mieć nadzieję — wzajemnie mu przerwała Podstolina — bo nadzieja ma liczne potomstwo. —

Horodniczy przygryzł usta, spój-

rzał z ukosa na Adolfa i brał się za kapelusz, gdy wszedł Pan Kwetko z uśmiechem zadowolenia na twarzy.

— Wybornie! wyśmienicie! Nic nie powiem, ale siurpryzka na czyjeś imieniny będzie taka, jakiej ta miłościna nie widziała. —

Pan Horodniczy uśmiechnął się kwaśno i wyszedł. Resztę czasu do reprezentacyi zabrało przygotowanie i toalety.



XI.

Za kulissą.



JEST jedno wyrażenie w języku francuzkim nader trafne i właściwe, które na polski język równie dobitnie i szczęśliwie wytłómaczyć się nie daje.”

— Jakież to? — przerwała czytającemu Podkomorzyna.

— *Arrière pensée.* —

— Nic łatwiejszego: *myśl najskrytsza.* —

— To każdemu przychodzi; a jed-

nak nie jest toż samo: bo *arrière pensée* jest myśl, która od najskrytszój głębić jeszcze przedzielona zasiekim siedzi niema, i w kątku, jak zaklęty ostatni dukat w najgłębszym i nieodgadnionym potajemniku szkatulki. Bywa ona niekiedy w niespodzianej wycieczce na czoło, na licu, w oczach, ale nigdy na ustach. Kochanek radby ją zgadnąć w sercu swój lubój; dyplomata, ukrywając własną, wykradłby ją z głowy przeciwnikowi: wie on bowiem, że ona tam jest, jest koniecznie; chory upatruje jój w minie doktora za puls go trzymającego, i radby uwierzył, że jest nią pocieszające *będziesz Pan zdrow*; handlarz koni szuka jój napróżno w przysięgach podobnego sobie cygana, etc. etc.: bo w takich poszlakach nieskończonym bydz można. Rozumięcie mię, szanowni slu-

chacze! więc dość mi na tém; a biegłym *słowo-twórcóm* na próbę ich dowcipu zostawuję ten twardy orzech do zgryzienia.

„Otoż za kulissą jest *arrière pensée* całej korporacyi aktorów, całej reprezentacyi sztuki, a nawet pomysłów niejednego widza. Tam wszystkie pożyczone dostojęstwa i splendory, błyszczące na scenie, tracą fałszywą wartość; tam brylant szkiełkiem, złoto folgą i szychem; wszelkie namietności wielkiego rozmiaru, znaczenia i wielkich skutków, wzburzone i rozpłomienione na scenie, tam, o dwa kroki, za kulissą, nagle drobnieją, i sparodyowane powszedniem użyciem w błahe mienia się poswarki, samym kontrastem śmieszne, tak, że najczęściej gdy *tragedya* na scenie, *komedya* za kulissą.

Tam też strzelał okiem i Pan Adolf, oczekując okazania się na scenie *Podstolinéj*. Ujrzał ją wkrótce ; lecz z nią razem okazał się i Fireyk , to jest, nawpół wytrzęźwiony Pan Anzgary, we fraku Adolfa tylko-co przyniesionym przez krawca.

— Ha! nie dobrego! — pomyślał Adolf. — Zedrę mu bez ceremonii po pierwszym akcie mój frak. Co za poufalność! Gra wyśmienicie, ale jakże nieuważnie się szasta! Splami go lub rozedrze. Poczekaj, zacny polubiencze *Apollina* i *Melpomeny*! Widzę, że i *Merkurego* rzemiosło nie jest ci obce; ale ja z ciebie zrobię *Maryasza*. —

Jakoż wnet po zapadnięciu zasłony poszedł za kulisę.

Przeciskającemu się przez zakomórki tam wiodące zawałiło drogę szubraw-

stwo, malcy rozmaitego kalibru, uciekający od płoszącego ich trzcina swą antreprenera.

— Co to jest? Mości Aryście! — zapytał Adolf.

— *Castigo molles*, Panie Dobrodzieju! i tym sposobem, a najskuteczniejszym bez wątpienia, uczę *mores* tych patrzyków, którzy, nie chcąc płacić pięciórek, przez strzechę tu się spuścili. A do żłobów szersznie! — szeptał z przyciskiem *castigando molles* nieobyczajnej trzody. Założył potem przed Adolfem kij we drzwiach jak rogałkę i — *non licet!* — rzekł.

— Właśnie też będę uważał na twe zagrody — odpowiedział Adolf, odrzucając trcinę. — Zapłaciłem dukata za bilet takiego jak i Pan Horodniczy; a do tego, mogę całą reprezentacyę wniwecz obrócić, odbierając bez ceremo-

nii frak mój od Fireyka, w który się bez pozwolenia ustroił.—

—No, no, to wielbiciel Pański. Dozwol mu Pan dokończyć roli; a za to ja dozwalam Panu....—

—Umizgnąć się do pięknej Podstoliny — przerwał Adolf.

—Hola! hola! — Zamrużył oczy, i trzęsąc głową — to swawola! to swawola! — wymawiał tonem napominającego sensata. — Nie, wcale nie. Dozwalam Panu wejść i.... wyjść. Zresztą rozpatrz się Pan tylko w nas. Emilka grająca Klarysę daleko piękniejsza od mojej żony. —

—Kłamiesz, ładaco! — odezwala się Podstolina, odpychając męża. — Jam ładniejsza; i ten Pan dowiodł tego swym gustem. Precz! —

—Jegomość! sznur pękł i obłoki

spadną — zawołał wtem zcicha maszynista.

— Bodajbyś sam pękł — rzekł z gniewem Kwetko, odchodząc śpiesznie, a oglądając się zukosa na pozostałą parę. —

Tymczasem na scenie zakrytój przed publicznością każdy swoje robił interesa: ten się przeglądał w kieszonkowém zwierciadelku, muzgał się i podmalowywał palonym korkiem wąsiki i hiszpankę; tamten czytał rolę naprędce, której się nie douczył; Klaryssa podróżowywała się i podkręcała loki; a Pan Anzgary wyniosł z za kulisy flaszkę i częstował kolegów; co postrzegłszy sufler w budzie — Krótko mówiąc — odezwał się — jestem już na swojém miejscu. —

Gdy Pan Antreprenier, jak drugi Atlas, podpierał obłoki, na parterze

niecierpliwe zaczęło się stukanie — publiczność miasteczkowa tak dobrze zna swoje prawa, jakby i stołeczna; więc wpadł on na scenę i rozpędził czere-dę. Maszynista stanął przy sznurze od zasłony....

Adolf, znając obyczaj teatralny, i nie dając czasu Panu Euzebiuszowi do rozprawienia się z sobą, klasnął trzy razy w dłoń.... Maszynista pociągnął sznur — kortyna w górę — scena otwarta. Antreprenier został za kulissą na drugićj stronie.

Reprezentacya podwójna.

Swistak i Pustak (*) na scenie. *Antreprenier, Adolf i Podstolina* za kulissami. Reprezentacya na scenie głośna, za kulissami na migi.

(*) Dwaj lokaje.

Adolf trzyma za rękę *Podstolinę* i coś do niej mówi z przymileniem, cicho i bardzo cicho (nie wolno odezwać się!)

Pan *Euzebiusz* z drugiejj strony grozi palcem i trzęsie głową.

Adolf całuje rękę *Podstolinęj*.

Pan *Euzebiusz* ścisnął zapamiętałe kulaki, rozkrzyżował się i boxuje nimi na powietrzu. *Adolf* i *Podstolina* śmieją się. Parter sypie brawo *Pustakowi*.

Podstolina, nie oddejmując jednejj ręki z rąk *Adolfa*, drugą opiera mu na ramieniu i cała się doń jakby mdlejąca pochyla.

Euzebiusz wścieka się; stoi na jednejj nodze i kulak swój kąsa, a drugą ręką chwycił trzcinę i wywija nią jak szablą....

— *Aryst* na scenę — szepnął wtém sufler.

Akcy a się od mienia.

Aryst gra rolę zazdrośnika na dwie żony; deklamuje z zapalem; oczy i głowę do pierwsz ej za kulis sę, figurę do drugi ej na scenie obracając; nie psuje jednak gry: bo to mu nadaje postać przywiedzionego do rozpacz y mę ża, nie chcącego nawet spojrzeć na przenie-wiercz ą żonę.

ARYST.

*No, dalej! nie przeszkadzam, dokończ, Panie
Młody!...*

*O Boże! co ja widzę? co widzę? Także to
Uczciwie postępują? ty niecna kobieto!*

FIRCZYK.

. Nic złego nie postrzegłeś po niej.

ARYST.

*Nic złego nie postrzegłem? albo to jest mało,
Że się z takim, jako ty, bawi świszczypałą?
Alboż to j ej nie prawisz andronów tysiące,
Cz em, jeśli nie największ em balamuctwem tchną-
ce?*

*I ja na te krwią zimną patrzyłbym swawole?
Cóż na to? Mościa Pani! Prawda w oczy kole!...*

KLARYSSA.

*Mój mężu! żal mi ciebie. Szanuję twe błędy;
I jeśli ci wybaczam, przez te tylko względy.
Wiedz jednak: gdybym nasze chciała plamić łoże,
Lepiejbym cię oszukać potrafiła może.*

*Zona z za kulissy pokazuje na migi,
że się zupełnie zgadza na tę odpowiedź.
Adolf przyłożył dwa palce do czoła i
uklonił się Arystowi.*

ARYST (z największą passyą).

*Oszukujże do licha, kiedy o to idzie,
Ale niech mąż o twoim nic nie wie bezwstydzie!
Co też to za świat teraz! Nie rozumiem, jeśli
Można sobie wystawić, jacy to ludzie źli!
O fatalne romanse! romanse niestety!
Wyście nam pokazyły młodzież i kobiety!
Lecz kiedy gust już taki, kiedy tej morowej
Zarazy parą wszystkie zawrócone głowy,
Niechże do licha mają na te szkodne jady
Czterech złodziejów ocet — Augustyna rady.
Niech żyją jak chcą sami, niech żyją bezbożnie,
Lecz niech będzie uczciwość, niech będzie ostroż-
nie....*

*Chyba że się z Plebanem moim nie zobaczę.
Czego on co niedziela na kazaniu płacze?
Uroił sobie w głowie ten fantastyk czysty
Jakowychś libertynów! jakoweś deisty!
Po co to? Niech się raczej tęp ozwą ambony:
Mężowie bądźcie lepsi! poprawcie się żony!
Z uczciwością nasz honor nierozdzielnie spięty.
Kto jest człowiek pocziwy, już za życia święty.*

Musiał to czuć głęboko, co mówił,
i oddał wyśmienicie; a może znalazł
sympatyę w parterze: bo mu huczne
sypnęły się oklaski. *Adolf* zaś i *Emilia*,
śmiejąc się serdecznie, na migach da-
wali mu *brawo*.

— *Podstolina* na scenę — szepnął
sufler.

Adolf więc, unikając czekających
go od zazdrośnika wymówek, i na los
szczęścia porzucając frak swój, poszedł
na parter.

Reprezentacya sztuki zakończyła się
wyśmienicie; ale gdy po niej oczekiwa-

ne zajaśniało przezrocze, i gdy za ni^{em} Pan Euzebiusz zapalił ognie bengalskie, mocny od nich dym siarczysty rozszedł się po stodole. Wi^{ęc} kaszel i kichanie sypnęły się zamiast oklasków, a przekl^ęstwa zamiast powinszowań solenizantowi.

Na dobitkę ktoś z tłumu odezwał się: — Ten waryat karczmę zapali! — Przestraszona zat^{em} publiczność wzruszyła się razem i hurmem wycisnęła się przez wrota.



XII.

Katastrofa i Powrót.



NIE potrzeba nigdy wymawiać złych proroctw, bo można trafić na feralną godzinę, która je ziści. Na taką bodaj trafił ten, kto, dusząc się dymem ogniów bengalskich, krzyknął: — Ten waryat karczmę zapali!—

Adolf, po reprezentacyi zabawiwszy jeszcze czas niejaki w towarzystwie aktorów, nie mógł się oprzeć potrzebie choć krótkiego spoczynku; a że,

podług instrukcyi stryjenki, postanowił porzucić kociet na miejscu, niewiele więc frasował się o czas, w którym miać miał rezydencyę Zosi.

Oddawszy zatem grzeczne dobroć Emilii, a nawet uwiązawszy jej słowo swoje, że nie odjedzie bez pożegnania się, o co nawet i udobruchany mąż jej upraszał, na odstąpioném mu uprzejmie, jedyném w kwaterze męzkiej, łóżku, które dobrém prawem do antreprenera by należało, przysposobił sobie jakiegokolwiek posłanie; i z głową na węzelku, w który zebrał swą od Pana Anzgarego odebraną i podróżną z siebie zdjętą garderobę, owinięty szlafrokiem, zasnął głęboko.

— Pożar! pożar! palim się! Gwałtu! Ratujcie! ratujcie!....—

Wrzask taki rozbudził Adolfa; ale

rozmarzonemu zdawało się, że mu się
śni pożar; i gdy odurzony krzykiem,
olśnięty łuną i duszony dymem poznaje
niebezpieczeństwo, a nie wie, gdzie się
rzucić.... porywa go silna ręka wpół,
prze nagle i prawie wynosi na ulicę.

Tam przy świetle prawie dniowém
od pożaru poznał Adolf ratującego sie-
bie Pana Anzgarego. I w sam czas
przypadł ten ratunek: bo karczma sta-
ra i słomą kryta cała była w płomie-
niach, a przepalone balki jedna po
drugiej zapadały.

— Otoż to ognie bengalskie i siur-
pryzy Pana Euzebiusza! Ot i morze
spali się....—mówił Anzgary.

Zgielk był okropny około pożaru.

— Ach Panie Anzgary!—rzekł A-
dolf — jaka pora do żartów? Czy nie
możnaby raczój coś uratować?—

—Trzeba umieć, Panie Dobrodzie-

ju, żartować z biedy, kiedy jęj zaradzić nie podobna. Masz Pan tu jakąś krobeczkę, którą uważałem, żeś bardzo troskliwie pielęgnował, a zatem ją razem z Panem schwycilem. Ratując ją, rozumialem, że tu Pańskie pieniądze; ale coś djabelnie lekka. O reszcie ani myśleć. Patrz Pan, po oknach płomień lata. —

—Tracę garderobę....—rzekl z niejakąś niespokojnością patrząc na siebie Adolf.

—Tu *Sultan Wampun*, *Cyd Rodryg*, i tylu bohaterów i heroinek, tracą swoją garderobę, a Pan swego fraka żalujesz! Ja nie tracę. *Omnia mea mecum porto*. Jakem się położył, tak się i porwałem na odgłos pożaru. Ale Pan jesteś panicz, wygodniś! więc rozebrałeś się sobie szczęśliwie. To jeszcze dobrze, żeś bótów nie zrzucił.

—Cóż się dzieje z Emilią?— zapytał Adolf, przerywając to paplarstwo.— Gdzież ona?—

—A!... przecieżś Pan o nią przypomniał! Zdrowa! Powyskakiwały wszystkie oknem jak kozy. Nawet miały czas powiązać i powyrzucać tłomoki, a przeniosły się z nimi do karczmy na drugim końcu miasta, gdzie Pan Euzebiusz układa już zapewne plan do reprezentacyi na zysk pogorzalców. Emilia zapytała mnie o Pana, tak, jak Pan teraz o nią, tylko trochę wcześnieć, i, prawdę mówiąc, troskliwić.— Ach! Jezus!—krzyknąłem ja—onśpi!— i skoczyłem w ogień. —

Adolf ścisnął mu rękę; a to było wymowniejsze podziękowanie nad wszelkie słowne; i czując się jeszcze bardziej obowiązany Emilii, pociągnął za sobą Anzgarego, aby ją koniecznie

wynaleźć. Ale gdy się wcisnęli w tłumy, nie byli panami swęj woli i kroków. Pożar stał się okropnym i coraz nowe zajmował domy. Cała ludność wszelkięj wiary, wieku, stanu i płci, wypłoszona z domów, wrzeszczała, uciekała, niosła tłomoki, lub uwoziła ruchomości na bryczkach i kałamaszkach. Pan Horodniczy stracił głowę: bo szło mu razem o ratunek i całego miasteczka, i własnego domu; wciskał się więc w tłuszcę, roztrącał, trącił, łajał, dawał rozkazy jedne drugim przeciwne, których nikt nie słuchał.... Żydostwo wyło, chrześcijaństwo klęło, a gęsto wzywani djabli na ognistych wiechach słomy i iskrzących się ożogach przelatywali, zda się, z dachu na dach i tańcowali w płomieniach.

Trudno więc było przebrnąć ciasne,

gorejące i zaduszone tłumem uliczki, a nawet utrzymać się razem Adolfowi ze swoim towarzyszem. Jakoż oderwany odeń Pan Anzgary zginął w tłumie, a Adolf z krobeczką w ręku został, nie wiedząc co począć i gdzie się podzieć... gdy wtém pociągnięto go za szlafrok. Obrócił się i postrzegł swego wóźnicę.

— Paniczu! jedźmy — rzekł on.

— Ach! to ty! Gdzież nasz wóz?—

— Stoi caluteńki na końcu miasteczka. —

Nie było czego namyślać się. Westchnął jednak, wspomniawszy na biednych aktorów, a szczególnie na Emilię, i przeciskając się, szedł za furmanem.

Doszli nakoniec do wozu.... Kociel nieszczęśliwy był na nim, i z kałamazki zwyczajnej, rozczepionej teraz

do dna, zrobiła się buda z ogromnem pudłem.

Projekta więc Adolfa znalazły się zniweczonymi: bo włościanin wiozący go, mając surowy przykaz od Kommissarza zabrania koniecznie kotła i zapłacenia kotlarzowi, z wieczora jeszcze spełnił to oboje; a po tej gorliwości jego poznał Adolf, że propozycyi nawet powrócenia do palącego się miasteczka i zostawienia kotła w pożarze, robić mu napróżno nie należało.

Pomyśliwszy więc nieco, zapytał:—
Czy nie ma jakiej dróżki na manowce do domu?—

—Ja o żadnej nie wiem—odpowiedział woźnica— a choćby i była jaka, któż po lasach i błotach jeździć będzie w nocy? Chybaby nas, Paniczeńku, diabeł wodził!—

— Czy miniem dwór Podstolego jeszcze w nocy?—

— I tego nie wiem, Paniczeńku! To półtora mili, a dziesięć pudów i funtów szesnaście przybyło ciężaru. Ale chwała Bogu deszcz zaczyna, ugasi może pożar. Leż panicz do budy.—

— Słuchaj — rzekł mu nakoniec Adolf — jeżeli miniesz w nocy dom Pana Podstolego, dam ci rubla.—

— Powiedz Paniczu dla czego? Czy to zaklęty dwór? A kiedy zaklęty, to lepiej omijać go w Boży dzień. Ale kiedy Panicz chcesz go prędzej minąć, to i siadaj prędzej.—

Adolf jeszcze raz zwrócił wzrok na miasteczko. Wszaski tam coraz prze-
rażliwsze rozlegały się. Deszczyk kro-
pił wprawdzie rześisto, nie tak jednak,
aby mógł zalać płomień po suchych i
starych dachach i domach latający bly-

skawicą. A zatém ulokował się nakoniec w kotle dobrze ochroniony od deszczu, nie mogąc na zupełną niewygodę narzekać.

— Co to za futro? — zapytał siadając Adolf i znajdując je przy sobie.

— To kurtka lisia Pana Kommissarza, którą mi od krawca odebrać kazał.—

Ruszyli. Furman, podchocony obietnicą, nie żałował bicia; podróż więc z początku szła sporo; ale wkrótce groble błotniste opóźniać ją poczęły; a coraz chłodniejszy wietrzyk zwiastował blizką zorzę i zimny poranek.

Adolf uciekł się natenczas do lisięj kurtki Pana Mateusza i włożył ją na szlafrok. Wnet dobroczynny wpływ ciepła objął go i powieki się ocięzać zaczynały; nakoniec znużenie dwóch nocy i zwyczajna przedporanna senność skleiły je zupełnie... Co mu się śniło?

nie dochowało podanie, a raczej pamięć bohatera tej powieści. Coby mu się śnić mogło? tego domyślićbyśmy się potrafili, i ozdobić, a przynajmniej przedłużyć powieść naszą fantastyczném, mglistém, dziwaczném, ludzácém a razem wieszczém marzeniem; w którém zwykle bardziej i głębiój brodzi na jawie myśl autora, niżeli wyobraźnia śpiącego. Ja jednak niedoświadczone pióro trzymając na wodzy, opuszczam domysły, i dozwalam spać spokojnie nie tylko Adolfowi, ale i jego furmanowi: bo i ten rozpoczął także poranną drzemkę, przerywaną tylko kiedyniekiedy machinalném smagnięciem koni, które,

Niosąc karki, i uszy, i głowy spuszczone,
Zdawały się szanować te ciała uśpione (*).

Wtém nagle huk okropny zdala się odzywa....

(*) Naśladowanie narracyi *Terancena* śmierci Hip-

Lecz nie uprzedzajmy kolei wypadków.

Wlokły się więc szkapy po błocie,
i przywlokły się do dróg rozstajnych...

O dobry geniuszu zakochanych!
zawróć konie na prawo!... zawróć! a u-
chronisz młodzieńca od konfuzji, która
zwróci także drogę życia jego w nie-
spodzianą stronę.... Od téj chwili
przyszłość jego zawisła.... Niestety! in-
stynkt koński los jego w tym momen-
cie determinuje... W prawo, minie
dwór Podstolego zdaleka; w lewo!....
Konie stanęły — wzięły bodaj na roz-
wagę ważny krok, który postąpić miały.

O dobry geniuszu! rozbudź przy-
najmniej woźnicę.... jeszcze pora....
Ach! *fatum* się spełnia.... Woźnica, nie

polita w tragedji *Fedra* Rassyna, tłumacze-
nia Chomińskiego.

otwierając oczu, smagnął po koniach....
poszły na lewo!!!

Włoką się jeszcze czas niejaki...

Wtém nagle huk okropny zdala się odzywa
I głosem przeraźliwym powietrze rozrywa,
A kociel z swęj czeluści odpowiedném echem
Brzmi jak trąba, i śpiących obudza z pośpiechem.
Im wgląb' serca samego krew zbiegła przez żyły;
Grzywy się osrożonym koniom najeżyły;
A zły los, srożąc bardziej ich czoła ponure,
Tuż przed wozem straszliwą wytacza figurę.... (*)
Podstoli —

Ach! tak! był to Podstoli, ojciec
Zosi; a ukazanie się jego okropniejszém
było dla Adolfa, niż morskiej
poczwały dla Hippolita i jego rumaków.

— Stój! chłopie! — krzyczał on —
stój! Co to wiesz? Kociel jakiś. Zkąd?
dla kogo?... A tu co we śrzodku? Cós
kosmatego! rusza się! cós żyjącego!
Tfu! człowiek czy bies?—

(*) Ibidem Fedra.

— Na cóżby ja biesa woził? tfu! — odpowiedział furman. — To nasz Panicz, Pan Adolf. —

— A dalibógże to Pan Adolf! — rzekł zdziwiony Podstoli, poznając odwracającego się ku sobie. — Cóż to jest? co tu robisz w kotle? Cha! cha! cha! (rozśmiał się do rozpuku) cha! cha! cha! cha! to jakaś awantura! —

— Żadnej — odpowiedział opryskliwie Adolf. — Miasteczko B..., w którym nocowałem dziś, spaliło się, i w pożarze straciłem garderobę, a z palącej się karczmy ledwo w szlafroku wyratować się mogłem. Niech mię więc Pan nie zatrzymuje. Jedź! —

— Stój! chłopie! — krzyknął znowu Podstoli — stój! Cha! cha! cha! Cóż ten pożar należy do kotła? Cha! cha! cha! Kto cię weń wsadził?... Zosiu! Zosiu!... —

A Zosia, używając świeżego ranku, sama świeża i ładna jak ranek, chodziła po ogródku pod oknem domu, przez nią pielęgnowanym.”

—Dziękuję za piękny komplement— przerwała Podkomorzyna.

„Zosiu! — wołał Podstoli — chodź, chodź tu! obacz swego kochanka w kotle. —

Podstoli, najpocziwszy i najlepszy na świecie, ale rubaszny i krotofilny człowiek, ani domyślając się nawet, jakie udręczenie sprawia Adolfowi, wołał córki, aby się naśmiać razem.

Nie przyszło mu do głowy, że miłość młodzieńca dla Zosi o stokroć podnosiła w jej obecności jego miłość własną; że zakochany chciałby wszelkimi sposoby swą powierzchowność

ozdobić, we wszelkie doskonałości się ubrać przed wejrzeniem swęj lubęj; że Adolf, lubo dojrzalszëj głowy od innëj młodzieży, lecz tém samëm delikatniejszego taktu i drażliwszëj wyobraźni, dotkliwiëj i boleśniëj uczuć musiał ten nieprzystojny sposób okazywania się oczóm kochanki”....

Uszlachetniasz, autorze—przerwała Podkomorzyna — blahe zdarzenie życia pospolitego, wiążąc je z życiem i wrażeniem wewnętrznëm; wypełniasz swoje programmę. Złapałam cię na uczynku.—

— Tak, Pani!—odrzekł Leon—wypelniam moję programmę, tylko nie tak mechanicznie, jak Pani sądzić zdajesz się; ale wypelniam, „szukając *prawdy* duszy, serca i namiętności, złączonych w *prawdzie* codziennego ży-

cia, a służyć mającej za dowód, że miłość cnotliwa jest także *prawdą*.” (*)

Zręczne to było i dowcipne przerwanie lektury Leona przez Podkomorzynę: bo miało na celu dać jemu i Adolfowi poznać, że rozbiór sentymentalny uczuć Adolfa pojętym jest przez nią jako sposób autorskiego kunsztu, uszlachetnienia i zainteresowania powieści, nie zaś jako rzeczywiste opisanie stanu jego serca. Ztąd naturalnie miała się zwrócić Podkomorzyna do źródła, z którego projekt powieści wyniknął, i z zimną rozwagą układając recenzję onęj, dysputować znowu o romansach, a zejść z niebezpiecznej drogi, po której ich autor prowadził.

Odpowiedź Leona zniweczyła ten plan piękny, bo dała poznać Podkomo-

(*) Stronica 53.

rzynęj, że jest zrozumiana. Sama więc rzeczywiście złapana na uczynku, zamilkła; a widząc blizki koniec rękopisu, postanowiła już dosłuchać cierpliwie.

„A więc krew zbiegła (czytał Leon) wgłęb' serca Adolfowi, gdy posłyszał głos Zosi: — Idę, papo! biegnę! —

Podbiegła ona do ojca, nie wiedząc, o co idzie. Dobiegłszy, spójrzała, zarumieniła się, jakbyś jej mlęczne lica karminem oblał, i odeszła powolnym krokiem; Adolfowi zaś zdało się, że zabrała w oczy swoje, w serce i w głowę obraz terażniejszy jego, który zostanie tam już na zawsze i dawny rys jego postaci zastąpi; że odtąd wspomnienie jego, śmiesznością okryte, nigdy szlachetniejszych i czulszych nie wskrzesi pamiątek; że pokazywać się przed nią byłoby obudzać jej wzgardę,

a przynajmniej poniewierkę.... Młodzieniec kochał prawdziwie, myśl więc taka była dlań męczarnią; ale razem zabijając w nim nadzieję, obojętnym go już uczyniła na stan jego terażniejszy.

Odrzuciwszy więc futro, a biorąc tylko krobeczkę — Ponieważ Pan mię zatrzymujesz — rzekł do Podstolego — dla własnej, jak uważam, satysfakcyi, przeto muszę pieszo kończyć moję podróż. —

— O! o! gniewa się! gniewa się! Cóż tam takiego? Naturalnie przypadek jakiś, i nie więcej. Chodź do mojego pokoju; dam ci mój żupan, albo kapotę; przebierz się; albo zresztą siedź i w szlafroku; a tymczasem poszlemy po twą garderobę do Szambelaństwa, zaprosimy ich tu i razem śmiać się będziemy. Poczekaj, powiadam ci. —

Adolf, gwałtem wyrwawszy się

z rąk jego, śpiesznie przeszedł dziedziniec.

— Zapalona głowa— mruczał, wracając do budynku, Podstoli. — Powiadał podobno, że miasteczko spaliło się. Szkoda, że nie rozpytałem się, czy akta ziemskie ocalały?...—

Tymczasem Adolf, gnany fatalną swą wyobraźnią, szedł tak śpiesznie, że go furmanka dopędzić nie mogła. W parę godzin stanął w domu. Nie czuł się nawet zmordowanym: bo nadzwyczajne wzruszenie umysłu podniosło gorączkowie siłę i rzeźwość ciała. Zaszedł do Kommissarza i posłał do swego pokoju po odzież. Nie odpowiadał na zapytania Pana Mateusza; który, gdy całego zdarzenia od przybyłego wkrótce włościanina się dowiedział, odniósł je stryjowi Adolfa. Obaj więc razem,

patrząc na ponurą twarz młodzieńca, pocieszać go usiłowali; stryjasek tém bardziej, że, zamiast niewygody podróźnej, jakieś chciał tylko Adolfa nabawić, stał się przyczyną jego zmartwienia, chociaż nie pojmował, jak ono głębokiém było; i dla tego gdy Adolf wkrótce poprosił koni dla powrotu do rodziców, zatrzymać go usilnie pragnął; nakoniec się i pogniewał, biorąc za kaprys i upor tak rychłą i niespodzianą do odjazdu ochotę.

Kobięta, tylko kobięta zdolną była zrozumieć i pojąć stan serca i głowy Adolfa. Poprobowwała ona, jak biegły chirurg delikatną sondą, jedno i drugie, i uznała, że rany są głębokie; że jątrzyłyby się coraz bardziej w tych okolicach, gdzie widzenia się z przedmiotem drażniącym je uniknąćby nie mógł. Stryjenka więc, tłómacząc mę-

żowi cały stan rzeczy, konkludowała, że jedynie czas i oddalenie, niweczając i zacierając powoli w pamięci Adolfa niemiły obraz spotkania się z Zosią, prześladowający go, zagoi rany, a może zwyczajną koleją zgasi i samą przyczynę onych, to jest, miłość Adolfa. W tym jednak ostatnim wniosku omyliła się stryjenka. A stryjasek, na tę perswazyę pokiwałszy głową, wpół wierząc, wpół poniewierając i wpół litując się, uwolnił nakoniec wyrywającego się synowca.”

— Nie mam końca powieści — rzekł Leon, składając rękopis.

— Jak to? — zapytali obaj słuchacze.

— Powieść, której miłość jest treścią, zwykle kończy się weselem. I mo-

jéj takż sam koniec bydzby powinien.—

Podjął znowu rękopis i czytał dalej:
 „I w rzeczy saméj, ten, który od lat
 młodzieńczych aż do dojrzałego wieku
 zachował w sercu jedno, nieodmienne,
 niezachwiane, jednostajnie tkliwe u-
 czucie dla jednéj osoby; ten, którego
 samo wyobrażenie jéj wzgardy i ponie-
 wierki pognało w świat daleki, wstan
 inny, i w nadziei zatarcia pamięci bła-
 hego zdarzenia i rażącego nieprzyzwoi-
 tością ubioru oblekło w świetną wpraw-
 dzie, ale niebezpieczną wojskową suk-
 nię; ten, który w niéj, dawnego ryce-
 rza przykładem (tak, Pani! dawnego
 rycerza sercem, uczuciem i męstwem)
 nieraz się na śmierć narażał, w na-
 dziei, że wieść o jego czynach dójdzie
 ulubionéj i wartość jego w jéj duszy
 wzniesie; ten nakoniec, którego mi-

łość oparła się najśrodszłej probie, to jest, posiadaniu ręki kochanki przez innego.... ten gdy wraca nakoniec (a tu czytający rzucił wyrazisty wzrok na brata) z tąż samą żywą, młodzieńczą miłością, przechowaną w wiernej i nieskalanjej duszy, i na kolanach błaga o nagrodę”....

Adolf w tej chwili był już u nóg Zofii, porwał jej rękę i całował z zapalem. Zofia wstała w pomieszczeniu i rzewnym na klęczącego patrzała okiem.

„i na kolanach błaga o nagrodę.... czyliż ta nagroda odjętą mu będzie, a z nią i szczęście drugiej połowy życia, gdy przez całą pierwszą za nim jedynie wzdychał?”...

—Zofio! — odezwał się klęczący zawsze Adolf głosem drżącym, czułym a niepewnym — czyliż ta ręka i teraz

nie będzie moja? — A przyciskał rękę jej do swych piersi.

Podkomorzyna stała czas niejaki w milczeniu; wzniosła nakoniec piękne swe oczy w górę, jakby wzywając Niebios natchnienia i opieki.... a opuszczając je potem na Majora — Niech będzie twoją! — rzekła — i oby ci szczęście przyniosła!! —

Patrzac z radością na przyszłą parę, autor rzekł :— Otoż mojej powieści

K O N I E C.



PANNA RESPEKTOWA.

I



PANNA RESPEKTOWA.



Rozmowa z moją Ciocią.

W ODDZIELNYM, małym i ciepłym pokoiku z kawiarni mieszkała moja kochana Ciocia, wdowa od lat kilkudziesięciu, bezdzietna, pocziwa, spokojna babulka. Od rannego mego *dzieńdobry* aż do wieczornego *dobranoc* modliła się tylko za mnie żyjącego, za męża zmarłego, i za dusze wszystkich zmarłych, a w szczególności krewnych, od trzeciego przynajmniej pokolenia.

Kiedynickiedy pokłóciła się trochę, między modlitewkami, z dziewczętami o śmietankę; ale zawsze dziewczęta ją przekonały i pokonały; i dla tego najlepszą jej przyjaciółką i faworytką była koteczka ryzka, ładnie centkowana, leżąca zawsze na poduszkach: bo i za napomnienie mruczała tylko, ale się nie klóciła.

Na stoliku, za którym ciągle siedziała Ciocia, stał krzyżyk srebrny z figurą Zbawiciela, leżało kilka xiążek do nabożństwa, na nich okulary, stało lustro w ramach filogranowych, pultynek z natkanemi szpilkami i z wiszącą odeń siateczką; w szufladce zaś zapas bieli, igielniczki, naparstki, nożyczki, wiórka, gęsie garelka, i tym podobne malutkie sprzączki, do których babulka nawykła. Ale najglówniejszym jej skarbem w szufladce, sta-

rannie zwiniętym i obwiązanym, był stary wielki dokument, podklejany na schyleniach, i jak relikwie szanowany. Był to, a raczej jest to (bo go chowam na pamiątkę) zapis wyposażenia jej przez Xieźnę Ogińską Wojewodzinę, na której dworze wychowała się, była potém przez lat kilkanaście *Panną respektową*, i nakoniec wyszła za mąż, hojnie obdarzona i wyposażona przez swoją Panią i prawdziwą dobrodziejkę.

Ileż razy odczytywała mi ten papier! Umiałbym go na pamięć, gdyby zbiór słów szumnych, bez ładu nagromadzonych, mógł się zatrzymać w pamięci; umieliby go sąsiedzi moi, którzy przy każdych odwiedzinach staruszki wysłuchać go musieli; umiałyby nawet dziewczęta, które jedne z ochotą go słuchały: bo to na długo przerywało natenczas uprzykrzony im kołowrót,

tem bardziej, że po lekturze następowało rozprowadanie — *ciąg dalszy*, przynajmniej na godzinę.

— Jaki to sens wysoki! — mówiła moja Ciotunia. — Kto teraz tak napisze?.. — A kończyła na ucałowaniu podpisu Wojewodzinęj, i ocierając łzy z oczu, składała dokument do stolika. Sens zaś ten wysoki jest takim:

„Anna z Xiążąt Ogińskich Ogińska
 „Wojewodzina czynię wiadomo etc.,
 „iż gdy Przedwieczna Mądrość w roz-
 „miarze i rozporządzeniu dzieł swoich
 „hojnym szafunkiem naturze ludzkiej,
 „udzielając wszelkiej doskonałości,
 „przeznaczyła żądze człowieka pozy-
 „skując *subsidualiter* podobnychże po-
 „mocy, i zarazem wtenczas w skłon-
 „nościach rodzaju żyjących udyspono-
 „wała moc sympatyj, której doskona-
 „łość i dzielność, tak skuteczném u-

„twierdzone są natchnieniem, że nie-
 „wybadane serca ludzkie przenikając
 „swoją własnością w najtęższe i żadną
 „miarą nieroztargane, tak dobrze łą-
 „czą związki, że cnota i przyjaźń
 „w zobopólnej konsekrowane ofierze,
 „najplytszym przeciwności ostrzem
 „przecięte i rozdzielone być nie mogą.
 „A ztąd nieśmiertelnej sławy rodzaj
 „chwaly dzieł i zasług swoich, dosko-
 „nale *in evum procreat* pożytki: że te-
 „dy sprawiedliwe doskonałej sympatyi
 „dzieło, utwierdzając prawo mocy swo-
 „jej żywe w osobach Pana *Józefa Ro-*
 „*kickiego* Kapitana i Wielmożnej Jmć
 „Panny Katarzyny Borejkwiny Regen-
 „townej, przepisała regułę. Zaczém JO.
 „Xiężna Pani i najosobiwsza Dobro-
 „dziejka *patris matrisque gerens vices*
 „(to się podobno znaczy [tłómaczyła
 „w tém miejscu moja Ciotunia], że mój

„ojciec był *Vice-Regent* w niewysłowionej dobroci widząc, iż wzajemne serce inklinowanych skłonności, sobą *simpatico impulsu* skryte wyroki do determinowanego końca swego doprowadzić usiłują: natenczas takowemu przeznaczeniu *non derogando* i godnym szacunkiem estymowane zasługi przez niemale czas *respektowej* swojej Panny Regentówny Borejkwówny u dworu swojego praktykowane, rekognoskując, niemniej dobrowolną a nieprzymuszoną *utriusque partis* przenikając wzajemność, powagą i konsensem *haec vota coronando*, czas szluby na dzień 26ty Julii terażniejszego 1777 roku determinuję, i wnosząc nadzieję w przyszłym czasie pamięci i należytej wdzięczności, *pro exdotatione in sortem* Panny Katarzyny Borejkwówny Regen-

„tówny piętnaście tysięcy złotych Ja
 „Wojewodzina Ogińska ze skarbu mo-
 „jego *parata pecunia* wyliczyć i dać
 „deklaruję” i t. d. (*).

— Więc, moja Ciociu! — rzekłem
 przy jednej takiej lekturze — *Panna*
respektowa była to panna służąca? —

— A co Wasan gadasz? Ani słu-
 żąca, ani *jurgieltowa*. —

— Ależ przynajmniej, moja Ciociu,
 zdaje mi się, że była zawsze starą pan-
 ną? —

— Ach! ja nieszczęśliwa kobieta!
 co Wasan gadasz? Owszem, każda pra-
 wie *respektowa* wychodziła zamaż:
 bo pan konkurent był pewny, że będzie
 i posag, i wyprawa, i dalsze Pańskie
 fawory. Ja sama, toż widzisz Wasan
 z dokumentu, byłam *respektową* u Xięż-

(*) Zoryginału prawdziwego i tamtowiecznego.

żnej Wojewodzinéj, *Panie! świeć nad
jéj duszą!* i z jéj dworu zamaż wyszłam
za nieboszczyka mego Józi, *Panie!
świeć i nad jego duszą!*—

— Ależ i Ciotunia Dobrodziejka
miała z półkopy latek, gdy Pan Kapi-
tan....—

— A co Wasan gadasz? Miałam lat
dwadzieścia z górą....—

— Mniejsza o to, moja Ciociu!
Jednakże jakież były obowiązki Panny
respektowéj?—

— Obowiązki? Żadne obowiązki.
Widzisz Wasan, bywało było na każ-
dym wielkim dworze kilka godnych pa-
nienek, które składały *fracimer* saméj
Pani. Czy Wasan rozumiesz, co to zna-
czy *fracimer*?—

— Rozumiém, moja Ciociu, rozu-
miém. —

Bo choć to słowo niemieckie, ale u

nas nie po niemiecku było: wszystko bogobojnie, chędogo i pięknie. Na dworze Wojewodzinéj było nas ze sześć. Podczaszanka *Milkowska*, która potém wyszła za mąż za Plenipotentą Pańskiego Pana *Snopkowskiego*. Za zasługi dali mu Państwo folwark w dożywocie i posag z wyprawą Pannie Podczaszance. Własną także miał on substancję. Działki coś im nie hodowały się. Z pierwszego połogu Pani *Snopkowska* miała bliźnięta. synaczka i córeczkę. Na chrzcie świętym dano im imiona: Adaś i Ewka; a do chrztu synka trzymał Pan Wojewoda ze mną, a córeczkę Pani Wojewodzina z nieboszczykiem moim potém mężem, który właśnie na tych chrzcinach powziął myśl konkurować do mnie. Już to widać taka była wola Boża: bo i ja....—

—Ale, moja Ciociu, nie o tém mowa!—

— A o czémże ja chciałam mówić?—

— O *Pannach respektowych*. Może Ciocia teraz zatrudniona, to innym czasem.... —

— O, nie! wcale nie! tylko mnie nie przerywaj, bo zbijesz z drogi. Otoż, mówiłam, było nas sześć. Czasami mniej, czasami więcej. Najstarsza jednak *rój* wodziła; i jeżeli się Pani podobać umiała, to zostawała *respektową*, aż póki Bóg jej losu nie dał; a młodsze to *rezydentki*, choć także były na respekcie Pani: to jest, że wszelkie miałyśmy od Pani opatrzenie, i do stołu Pańskiego siadałyśmy codziennie, choćby i przy gościach. Już to taki trzeba było na *respektową* byź w stałym wieku, i mieć już rozum doskonały, aby umieć zrobić sobie *rum* w każdej kompanii, i aby się Pani nie powstydzila

za swą *respektowę*, która zawsze była przy jēj boku.

— Po Pani *Snopkowskiěj*, ja zajęłam jēj miejsce przy Pani Wojewodzinėj; i chwala Bogu, Panie! świeć nad jēj duszą! polubiła mnie bardzo.

— Bywało siedzę sobie wygalowana w pokoju paradyńm, szyję cokolwiek albo tamburuję dla Pani (ale w ręku, bez krosienek: bo w krosienkach, to robota *rezydentek*); zawsze jednak muszę byđź ubrana pięknie (co mi latwo bywało było: bo Pani Wojewodzina z własnej garderoby udzielała mi hojnie) i gotowa jestem do przyjęcia gości, zwłaszcza Dam; a choćby i Ichmościów, zastępując Państwo, nim się ukażą na pokojach. To potrzeba bywało było umieć i dyskurs poprowadzić, i grzecznie zabawić. Ale kiedy się zebrała wielka kompania i na dni kilka, to był

osobny obowiązek dla *Panny respektowej*, następczany jej umyślnie dla pewnych gratyfikacyj i obrywek.

— Bywało raniiej od wszystkich wstawszy, i wysznurawawszy się raźnie, ubieram się w suknię materyalną, i w pięknej chusteczce bławatnej, zapiętėj na piersiach, w trzewieczkach atlasowych na korkach, narzucam na wierzeh, kiedy zimą, *demisulopek* kitajkowy, popielieczkami oszyty, a kiedy latem, *rańtuszek* jedwabny, i idę do gości; a za mną niosą hajduki wielkie srebrne tace z kawą, z garnuszczkami wybornej śmietanki, i z koszami także srebrnymi cwejbaczków, takich smacznych, jak ja Wasanu piekę. Wchodzę, znajduję czasami Ichmość w łózkach; ale to nie nie szkodzi: bo taki honor robił się tylko osobóm wysokiej godności i weteraństwu. Dygam tedy

pięknie przy drzwiach. — Pani moja przesyła JWW. Państwu dzień-dobry — powiadam. Tu mnie witają solennie; przepraszają, że zaspali; a ja tymczasem rozkazuję nakryć stolik hollenderską jak atlas serwetą i ustawuję kawę. Pytam się o zdrowie — czy Jejmość Dobrodziejka nie potrzebuje *ziołeczek*, albo *herbaty*? — którą teraz Wasaństwo szklankami pić zaczynacie, a której u nas bywało było tylko dla zdrowia, kilka szczyptek w całym domu na *rarity*, i to w aptecce kupionój. Podyskuruję trochę, i idę dalej do drugich pokojów gościnnych. I tak każdej godnej parze dogodzę. Powracam potem do Pani; donoszę, jak się mają goście; i czekam ciekawie i niecierpliwie w moim pokoiku powrotu tac, które hajduki prościuteńko do mnie, nie nie ruszając, odnoszą.

—Rezydentki wszystkie zbiegają się do mnie, a czasem i Pani w pudernie przyjdzie z ciekawości, jak wystąpią gościnne Panie z swoją hojnością? Żadna taca próżna nie wróci: jedna będzie nakryta piękną chustką od kilkunastu czerwonych złotych; na drugiej materyalna suknia; na innej piękny rąstuszek; już to najmniej, kiedy pudełko wstążek, albo korunka brabancka. Pieniędzy nigdy: bo to się nie godzi; ale kilka razy znalazł się i piękny pierścioneczek, i para kolczyków, i rozmaite inne cacki znacznej ceny. A że znakomici goście często bardzo odwiedzali dom Państwa Wojewodów, więc szlachciance przybywało wyprawy bez pracy i kosztu. Gdzież teraz tak?... gdzie teraz takie *respekta*?... gdzie tacy Panowie?.... gdzie takie Panie dobroczynne i bogobojne? gdzie?... *Pa-*

nie! świeć nad ich duszami! — rzekła, podnosząc wyschle ręce w górę... — *A psik! a psik!* Kotka skoczyła na *gieranim*.... —

A ja, profitując z tego roztargnienia, wyszedłem i unikałem dalszych dziejów młodości mojej Ciotuni. Niestety! w krótkce na mogile ostatniej *respektowej* w Litwie zmówiłem: — *Panie! świeć nad jej duszą!* —

KONIEC SERII CZWARTÉJ.



20/17
B

Spis rzeczy.



Autor Swatem.		<i>Stronica.</i>
		7
ROZDZIAŁ	I.	13
—	II.	19
—	III.	26
—	IV. Rozum Kobięcy	44
—	V.	47
—	VI. Dysputa i Wyzwanie	65
—	VII. Powieść Leona	89
—	VIII. Trupa błędna	107
—	IX. Nowy Aktor	128
—	X. Przed Reprezentacyą	136
—	XI. Za Kulissą	149
—	XI. Katastrofa i Powrót	175
	Panna Respektowa	





0350479

DZIEŁA,

z Xięgarni pod firmą

w wadzkiego

w Wilnie wydane.

ANAFIELAS. Pieśni z podań Litwy. Pieśń Pierwsza: **WITOLORAUDA**, przez *J. I. Kraszewskiego*. Wydanie 2gic, ozdobione 50 drzeworyt., przez *Vincentego Smokowskiego* wykonanemi, na najświetniejszym welinie. In 8vo maj. Tom I.

ANAFIELAS. Pieśni z podań Litwy. Pieśń druga: **MINDOWE** Król Litewski, przez *J. I. Kraszewskiego*. Wydanie przepyszne, na najpiękniejszym welinie, drukiem nowym paryzkim. 1 Tom in 8vo maj.

ANAFIELAS. WITOLDOWE BOJE. Pieśń Trzecia i Ostatnia, przez *J. I. Kraszewskiego*. Z ryciną przepyszna na stali, przez jednego z najpierwszych Artystów Angielskich wykonaną za granicą, wyobrażającą W. X. Litewskiego Witolda w całej postawie, Bohatera tej epopei, z obrazu oryginalnego olejnego w Nieświżu. Wydanie samo przepyszne na najświetniejszym welinie.

AKTA BABIŃSKIE. Pismo nie peryodyczne i nie-zbiorowe. Wydawca *J. I. Kraszewski*. Xiążeczka 1sza i 2ga.

OBRAZY Z ŻYCIA I PODRÓŻY przez *J. I. Kraszewskiego*. 2 Tomy in 8vo maj., na papierze welinowym, z 3ma litografowanemi rycinami.

ARCYDZIEŁA DRAMATYCZNE EUROPEJSKIE, wydawane przez *Józefa Korzeniowskiego* i *Alfonsa Walickiego*. Tom 1szy zawiera: **Faust**, Tragedya *Göthe*go, tłumaczenie *Alfonsa Walickiego*. Z 26 rycinami i z Muzyką *Xiążęcia Antoniego Radziwiłła* Tom 2gi zawiera: **Król Jan**, Dramat w pięciu Aktach *Shakespeare*, przekład *Korzeniowskiego*, i **Król Edyp**, *Sofoklesa*, przekład *Alfonsa Walickiego*. In 18.